

# NIEMCY W OFENSYWIE

„... Und deshalb gibt es für alle Deutschen und für alle Europäer, die diese Schicksalsstunde ihrer Freiheit begriffen haben, nur eine Lösung: In den Staub mit allen Feinden unseres ehrwürdigen, geliebten europäischen Kontinents.“

„I dlatego istnieje tylko jedno wyjście dla wszystkich Niemców i dla wszystkich Europejczyków, którzy zrozumieli te chwile krytyczną swęj wolności: powalenie wszystkich wrogów naszego uwielbianego, ukochanego kontynentu europejskiego.“

A. Rosenberg w Pradze.

### WYGRYWANIE NARASTAJĄCEGO CHAOSU

Oficer angielski, repatriowany z niewoli niemieckiej, podkreślił jako szczególną cechę stosunków panujących ostatnio w Toruniu — wielkie przeludnienie i brak mieszkań. Miasto jest przepchane uciekinierami z bombardowanych prowincji zachodu Niemiec. Działacz polityczny, przybyły ostatnio z Kraju, mówi o tysiącach leńskich ludzi, kryjących się przed władzami okupacyjnymi po lasach i bezludziach. Są wśród nich nie tylko Polacy, są przedstawiciele różnych innych europejskich narodów. Prasa państw neutralnych opisuje przepelnione pociągi, nadchodzące do Prus Wschodnich i Generalnego Gubernatorstwa z okolic przyfrontowych, ze wschodu. Ludzie oblepiają dachy wagonów, wiszą na stopniach, kurczowo trzymają się żelaznych obramowań. Do Łodzi na piechotę napływają dziesiątki Niemców-kolonistów, którzy musieliby zwinąć manatki w „Ostlandzie.“ Przemaszzerują po 1,600 klm. Administracja niemiecka oczekuje ich — 140,000. Z wbrzeży francuskich ewakuuje się ludność do centrum Francji.

Te niezwykle, na skalę dotąd w historii nowoczesnej Europy nie spotykane ruchy ludności są drobnym przejawem chaosu, który w miarę dalszego rozwoju wojny będzie się oczywiście pogębiał. Są dowodem trudności, z którymi Niemcy dziś walczą. Było by jednak przedwczesne uważać, że władze Trzeciej Rzeszy nad tymi problemami nie panują. Jest nawet tak, że polityka niemiecka z tych przejawów kuje dla siebie argumenty po z y t y n e.

### STRACH JAKO ARGUMENT

Ktoś bardzo słusznie powiedział, że cnota zbiorowa jest rzeczą sprawną organizacją. Sprawnej organizacji Prusy i Niemcy zawdzięczały żołnierskie zdyscyplinowanie swęgo społeczeństwa. Sprawnej organizacji hitleryzm zawdzięczał między innymi entuzjizm mas niemieckich dla Trzeciej Rzeszy. Entuzjizm ten stał się motorem obecnej wojny. Gdy zapal zaczął niknąć pod wpływem doświadczeń wojennych, a miejsce jego zajmować niewiara w zwycięstwo, organizacja Trzeciej Rzeszy chwyciła za instrument strachu. I to nie tyle strachu przed przegrana, bo z tym — wydaje się — człowiek niemieckiej ulicy już się zżył, ale strachu przed tym, co Niemców czeka po wojnie.

W noworocznym apelu Hitlera do narodu niemieckiego znalazły się więc takie stwierdzenia: „Wielokrotnie już nadmieniałem, że w obecnej wojnie nie chodzi o zwycięzów czy zwyciężonych... Zdamy sobie z tego sprawę, że u końca wojny... pozostaną tylko ci, którzy utrzymali się przy życiu, i ci, którzy zostali zniszczeni.“

Zdanie to mówca przepłócił wizją przyszłości, rzekomo przygotowanej Niemcom przez politykę bry-

tyjską. Wielka Brytania, według Hitlera, dąży do tego:

„aby naszemu narodowi zostały zabrane dzieci, tak jak zostały zabrane narodowi polskiemu, aby te dzieci zostały wywiezione na wychowanie do Rosji, więc aby zostały wyniszczone, aby tuzin lub dwa tuziny milionów niemieckich robotników zostały wysłane na Sybir... Biskupi angielscy modlą się, aby ukaranie narodu niemieckiego zostało na następne dziesiątki lat powierzone bolszewizmowi... W prasie angielskiej pisze się, że tym razem sprawiedliwość będzie dokonana bez oglądania się na względy humanitarne.“

W noc Sylwestrową Goebbels podjął poprzez radiostacje niemieckie tę samą nutę:

„Nie potrzebuje tracić słów, o co w tej walce chodzi. Nasi nieprzyjaciele nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości. Bronimy naszego życia. Jest dobrze, że o tym wiemy. Staniemy się dzięki temu nie tyle słabsi, ale mocniejsi. Klęska byłaby naszym zniszczeniem. Anglicy i Amerykanie zabraliby nam nasz handel, nasze okręty, kopalnie, fabryki i maszyny, bolszewicy zaś naszych mężczyzn i nasze dzieci.“

Propaganda niemiecka uderza w ton realistyczny. Niepowodzeń na froncie się nie kryje. Groza bombardowań alianckich jest uwy-puklana. Czego nie da się wyśl-nąć z mas niemieckich perswazją, tego ma dokonać obawa przed straszną przyszłością. „Straszna“ — przede wszystkim wobec faktu zbliżania się Rosji do żywotnych centrów Europy. Opinii niemieckiej przecież nawet propaganda goebbelsowska z trudem mogłaby wytłumaczyć, że właśnie Anglosasi będą wprowadzali w życie jakieś diaboliczne plany wobec Rzeszy i narodu niemieckiego. Stąd stwierdzenia, że rozpaczliwość sytuacji Niemiec polega na tym, iż Anglosasi chcą Europę oddać Rosji. Chcą lub raczej — muszą. Według słów noworocznego apelu Hitlera:

„Mądry kierownicy tradycyjnej polityki brytyjskiego imperializmu przeoczyli następujące ważne fakty:

1. że w tej wojnie nastąpiła zupełna zmiana sytuacji, gdyż nie Anglia mogłaby korzystać z przewrócenia „teoretycznej równowagi sił“ w Europie, lecz bolszewizm...  
2. wojna... nie jest już dziś prowadzona z korzyścią dla interesów brytyjskich... Anglia jest dziś sama narzędziem sił, nie krepujących się żadnymi skrupułami.“

### STRASZENIE EUROPY ZAGŁADĄ

O ile strach jest obecnie argumentem propagandy niemieckiej, to przytoczone tu zdania Hitlera wyraźnie uwy-puklają tęzę polityki niemieckiej w obecnej chwili. I tylko te tezy tłumaczą takie oto dziwne zdanie, które Hitler uważał ostatnio za stosowne zaaplikować swemu społeczeństwu:

„Niebezpieczeństwo dla Europy jest olbrzymie. Nie może go złagodzić okoliczność, że pewne brytyjskie

i amerykańskie koła już teraz mówią o trzeciej wojnie światowej, która wybuchnie między nimi a bolszewizmem.“

Niestety na tych łamach nie ma możliwości szczegółowszego rozbioru wszystkich subtelności polityki i propagandy niemieckiej w obecnym okresie wojny. Muszę się więc ograniczyć do stwierdzenia, które podkreślał bardzo silnie, do stwierdzenia, że po tamtej stronie frontu znajduje się ciągle jeszcze przeciwnik, który nie ma zamiaru kapitulować, który nawet wtedy, gdy ma ograniczone możliwości inicjatywy militarnych, nie cofa się przed inicjatywami politycznymi. I nie jest bez znaczenia, że Hitler w ostatnich czasach odzywał się tak często, że był na równi gadatliwy, jak skłonny do pisania proklamacji. Karykaturzyści anglosascy, przedstawiający go z bandażem lub kompresem na głowie albo strzępiącego nerwowo dywany jeszcze nie trafiają w sedno.

W połowie stycznia odezwał się z Pragi Reichsleiter Alfred Rosenberg, landlord kurczących się obecnie w rękach niemieckich obszarów wschodnich. Jego mowa jest zagranicznym odpowiednikiem propagandy goebbelsowskiej, uprawianej na wewnątrz. Trzecia Rzesza na wynos, dla innych, przestała już oferować „Schutz des deutschen Reiches“, wcielanie w niemiecki „Lebensraum“, poddawanie się bez zastrzeżeń „Herrenvolkowi“. Rosenberg uderzył w ton cytatu, który przytoczyłem na wstępie niniejszego artykułu, gdyż doskonale charakteryzuje obecną fazę polityki niemieckiej. Główny „fiozof“ ideologii narodowo - socjalistycznej, która nie jest żadnym ruchem filozoficznym, choć na niego pozuje, przedstawił Europie „niebezpieczeństwa“ przegranej Niemiec. Wygrana Narodów Zjednoczonych znaczy — według Rosenberga — koniec Europy, jako kolebki i niewysychającego źródła cywilizacji. Autor poglądu wyższości rasy niemieckiej nad parweniuszami europejskimi mówił:

„Kochamy tę starą piękną Europę nawet tam, gdzie ludzie jeszcze nie rozumieją o co chodzi i że chodzi o nich samych.“

Wspomniał Shakespeare'a i Dickensa, Rembrandta i Rubensa, zamki nad Loire'a, groby królów szwedzkich i historię narodów bałkańskich obok literatury i architektury niemieckiej. Tych to rzekomo wartości — jego zdaniem — broni dziś armia niemiecka i dlatego powinna mieć poparcie całej Europy.

### „POLSKA JAKO PRZYKŁAD...“

Motyw strachu w tego rodzaju propagandzie na Europę gra także olbrzymią rolę. Straszakiem jest los Polski. Polska z łamów prasy

niemieckiej nie schodzi. I jest na tych łamach przedstawiana nie jako czynnik ujemny, lecz jako przedmiot — litości Europy. Każdy głos prasy anglosaskiej, argumentujący potrzebę polsko-rosyjskiego porozumienia i wymieniający cenę, którą Polska ma za to płacić, wskazywany jest przez propagandę i politykę — i politykę — niemiecką jako dowód zaprzeczania interesów europejskich przez Zjednoczone Narody. *Polen — als Beispiel /Polska, jako przykład/*. Rząd Polski — jako zespół gneębionych przez pana sług.

Nie można oczywiście nie ulec pokusie rozważania, jakie są odzwierciadlenia charakterystycznych tu posunięć Hitlera i jego kliki. Zacznijmy od echa w samej Europie. W Polsce szef Gestapo okręgu warszawskiego zginął z rąk polskiej armii podziemnej w tym samym okresie czasu, w którym Frank dwukrotnie kókietał naród polski, zachęcając go do współpracy z okupantami. W berlińskim przemówieniu Franka do przedstawicieli prasy zagranicznej była nawet pochwała dzielności i pracowitości Polaków oraz stwierdzenie przyszłościowości cierpienia narodu polskiego.

W reszcie Europy Niemcy na pewno napotykać na trudności olbrzymie a może także nie do przewyżczenia. Terror dawał im natychmiastowe sukcesy w łamaniu i paraliżowaniu oporu. Ale były to sukcesy okupacyjnej organizacji najzupełniej krótkotrwałe. Polityka ucisku przekreślała możliwości przygotowywania współpracy z przesładowanymi. „Czcigodny, ukochany kontynent“ ma nogi i ręce pokrwawione kajdanami, plecy rozrżnięte batogami obozów koncentracyjnych, oczy wypłowiałe od patrenia na agonię najbliższych. Jakże dziś może uwierzyć w słówka Goebbelsa i Rosenberga. Chyba, że będzie obawiał się rzeczy jeszcze gorszych, niż Golgota *Neue Ordnung*. Rozumowania w tym kierunku zaprowadziłyby nas za daleko.

Na wewnątrz Rzeszy strach przed zbliżaniem się Rosji jest — jak dotąd — czynnikiem istotnie umacniającym wolę oporu. Podkreśla to znowu hektografowany organ socjaldemokracji niemieckiej na terenie Wielkiej Brytanii: *Sozialistische Mitteilungen /Nr. 58/59, 1944/*. Nie zapominajmy poza tym, że wysilek wojenny, trwający w Niemczech już od 1935 roku, oraz długa wojna przy stalowej obręczy państwa policyjnego doprowadziły społeczeństwo niemieckie do niebywałego stanu apatii. Apatii tej i niemożliwości organizowania opozycji „*Journal de Genève*“ /1.XII.1943/ przypisywał fakt, że na ruchy opozycyjne zagrażające reżimowi hitlerowskiemu wewnątrz Niemiec zagrańnica nie powinna liczyć. Apatia dobrze idzie w parze ze strachem.

Potulne woły nadal pociągają hitlerowski wóz.

### WSPÓLGRANIE EMIGRANTÓW NIEMIECKICH

Trzeba natomiast podnieść, że metodę „europejskiego“ i „anty-rosyjskiego“ rozumowania polityki i propagandy Berlina /Berlina nominalnie, bo centra dyspozycyjne Trzeciej Rzeszy już tam pewno nie tkwią/ uprawia także emigracja niemiecka. Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, gdzie najtęższe niemieckie głowy emigracyjne nie tylko znalazły przytułek, ale dostęp do instrumentów politycznego działania. Pisma emigracji niemieckiej też bronią Europę, też starają się niepokoić świat możliwościami zwycięstwa komunizmu i też — to najważniejsze — akcentują czym dla Europy są Niemcy. Hitler, Goebbels i Rosenberg mają na myśli oczywiście Niemcy nazistowskie; Stampfer czy Seger zaś Niemcy socjal-demokratyczne a Brüning Niemcy katolickie.

Organ socjalistyczny w Szwajcarii „*Berner Tagwacht*“ omówił w numerze na 5 listopada 1943 działalność innego oddamu niemieckich „emigrantów“ — Niemców, działających z Moskwy. Autor artykułu zajął się szczególnie „*Bund der deutschen Offiziere*.“ Przymioma na współpracę prusko-rosyjską w czasie wojen napoleońskich i układ zawarty w Taurogach 30 grudnia 1812 roku między hrabią York von Wartenburg a Rosjanami:

„...W Taurogach powstała jeszcze jedna tradycja pruskiego korpusu oficerskiego — tradycja orientacji prorosyjskiej. Generałowie niemieccy w Moskwie powołują się dziś na ten wielki wzór...“

Stąd wezwania generała artylerii von Seydlitza do poddania się Rosjanom dwiżym niemieckich otcoczonych, w chwili pisania tego artykułu, w okolicy Korsunia, wezwania powołujące się na układ Seydlitza „z naczelnym dowództwem rosyjskim.“

### POTRZEBA KONCEPCJI PO TEJ STRONIE

Działalność Niemców w Moskwie nie rozjaśnia w niczym rozbiór zagadnienia niemieckiego w chwili obecnej. I ten fakt każe jednak dojść nam znowu do wniosku o pilnej potrzebie umiejętnej i o szerokiach horyzontach strategii politycznej aliantów, aby polityczne chwytły Hitlera, pogrobowców Wejmaru w Stanach Zjednoczonych, czy też uczniów Yorka nie wychodziły na korzyść Niemcom, jako całości, i jeżeli nawet nie dziś, to w przyszłości. Wojna musi być prowadzona także politycznie.

Ma się natomiast zbyt często wrażenie, że w wielu kołach alianckich panują dążności do wykpienia się taktyką, grą w chwili, gdy potrzeba — koncepcji, idei politycznej. Może nawet koncepcji filozoficznej co do przyszłości Europy, więc co do przyszłości świata.

Przeciw samolotom nie poradzą balony, czołgi wymagają czołgów a nie kawalerii, artylerii nie zwalczy się — lukiem. Niemcy, bo nie tylko Hitler, chwytają się dziś koncepcji. Trzeba na to odpowiedzieć tą samą bronią. *Wanted a new vision* — potrzebna jest nowa wizja świata — powiedziałyby nasz dobry znajomy Axel Heyst.

Londyn 14 lutego.

RYSZARD KIERSNOWSKI

JÓZEF WINIEWICZ

## EWANGELIA ŻYWYCH

Dopóki utrzymamy karabiny w ręku,  
Dopóki śmierć łaskawa głów nam nie pochyli,  
Dopóki wolność żyje w konających jęku —  
Będziemy się bili.

Niech nas nie pouczają i niech nas nie straszą,  
Niech nas grozą nadejściem tragiczniejszej chwili,  
Choć najdłużej ze wszystkich damy krew  
naszą —

Będziemy się bili.

Nie mamy nic na sprzedaż i nic do oddania,  
Chociaż by nasze kości przed zgonem liczyli,  
Chociaż by głos rozsądku walczył nam

zabraniał —

Będziemy się bili.

Jeśli by świat urządził pokojową „party“,  
Na której smutny rykiel polskich łez wychyli,  
My — Tragiczni Rycerze Atlantycznej Karty —  
Będziemy się bili!

# Polski punkt widzenia

Ubiegły tydzień przyniósł w sprawie sporu polsko-sowieckiego jeden głos, ale liczący się do tych, które mają najwyższą wagę, są słuchane z największym nateżeniem. Przedstawiając Parlamentowi Brytyjskiemu swój pogląd na aktualne zagadnienia wojny, Premier Rządu Jego Królewskiej Mości dotknął również aktualnych spraw Polski. My, żołnierze Polskich Sił Zbrojnych przyjęliśmy słowa Winstona Churchilla z mieszanymi uczuciami.

W świadomości każdego z nas Churchill urosł przez minione lata, jako ktoś niezmiernie bliski i drogi. Naczelny nasz przywódca na wodzie nie tylko jego kraju, ale jako na przywódcę wszystkich narodów walczących o wolność, a więc także i przede wszystkim — naszego narodu, który był w tej walce pierwszy. Sprzężył się z nim nasze najcenniejsze doświadczenia — upadek Francji, ewakuacja na ziemię brytyjską, bitwa o Wielką Brytanię. Ale równie silnie sprzężył się z jego osobą wszystkie jasniejsze chwile tu przeżyte. Obiegły nasze rozbitki szeregów już w pierwszych dniach pobytu na wyspach jego słowa, powiedziane do gen. Sikorskiego: "Jesteśmy ze sobą złączeni na śmierć i życie." Zrozumieliśmy to jako zaprzysiężenie wierności żołnierskiej i od tamtego czasu, każde wezwanie, każde napomnienie Churchilla miało dla nas obowiązkową siłę rozkazu. Churchill przywiązał nas czymś innym jeszcze. Tym, co mówił do nas, był najbliżej i najdroższy, do których głos naszej pomocy nie dochodził. Przywiązał nas współpracą okazaną przez tragiczną śmierć gen. Sikorskiego, którego żalował i żegnał, jak wiernego towarzysza broni i jak przyjaciela. Widzieliśmy też w jego oku, gdy idąc za trumną naszego wodza opuszczał katedrę westminsterską.

Wiemy, mamy na to dowody i świadectwa, że w taki sam sposób, podobnie głęboko wrósł Churchill w świadomość walczącego Kraju. Nie było bodaj w przeszłości polskiej obcego nazwiska, któreby miało taki ciężar gatunkowy, taki wydzźwięk, jak ma dziś w całej Polsce nazwisko Churchilla. Nazywa się jego imieniem ulice. Przechowuje się jego podobizny. Przytacza się z nabożeństwem jego słowa, że nigdy nas nie opuści. On dla Kraju ucieła Anglię. On postawił wojnę. On gwarantuje nie tylko granice, ale zasady, które wypowiedział z taką mocą przekonania i taką dobitnością wyrazu.

Ostatnie przemówienie parlamentarne Churchilla zawierało zapewnienia cenne dla nas, bardzo nam i Krajowi potrzebne. Gdy mnożą się za-

machy na naszą suwerenność, gdy usiłuje się poderwać autorytet jedynego legalnego rządu Rzeczypospolitej, gdy jakaś nikomu nie reprezentująca, samozwańcza Krajowa Rada Narodowa "mianuje" nikomu nieznanego "naczelnego wodza," gdy obcy rząd szafuje krwią polskich obywateli, jak własnych, gdy bezprawnie nadużywa się polskich godła państwowego i symboli — ważne, oczekiwane, potrzebne są słowa Churchilla zapewniające, że Polska wyjdzie z tej wojny jako państwo niepodległe, powołane do odegrania ważnej roli. Bolesne to, iż trzeba podobnych zapewnień po czterech pełnych latach wojny, w czasie których nasz naród spływał krwią. Ale nie mniej to zapewnienie, my żołnierze, uwiemy oenić. Z ulgą przyjmując je, musimy także nasz udręczony Kraj.

Jednak w ustępie przemówienia Churchilla dotyczącego Polski znalazły się także słowa, które nas głęboko zraniły. A jeszcze dotkliwiej zranić musiały społeczeństwo polskie, trwające w śmiertelnej walce z najeźdźcą. Były to słowa uznające roszczenia rosyjskie do naszych ziem za "rozsądne i sprawiedliwe," słowa opowiadające się bez zastrzeżeń za t.zw. "linią Curzona" z r. 1919, jako przysiężoną wschodnią granicą Polski.

"Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza" niewątpliwie z upoważnienia oficjalnego określił w nr. z dn. 24 b.m. stanowisko Polski w tej sprawie.

T.zw. "linia Curzona" jest dla nas nie do przyjęcia. Po pierwsze dlatego, że nigdy nie była pomysłana jako granica, ale jako linia demarkacyjna i nigdy w życie nie weszła.\* Po drugie dlatego, że nawet ona dopuszczala, że na wschód od niej znajdują się ziemie, do których Polska może rościć szlachetne i niezaprzeczone prawa. Po trzecie dlatego, że odrzucała tę linię sam lord Curzon, którego imienia tak się w tej chwili nadużywa; za jego to premierostwa w Wielkiej Brytanii i — o czym zapomnieliśmy, a o czym warto przypomnieć — za premierostwa gen. Sikorskiego w Polsce mocarstwa Wielkiej Koalicji, w r. 1923 zgodnie uznanej za wschodnią granicę rozciągającą Polskę i Związek Sowiecki linię traktatu ryskiego. Po czwarte dlatego, że to właśnie linię ryską ratyfikował sejm Rzeczypospolitej i tylko on jest w mocy ją zmienić.

Tak wygląda rzecz w świetle prawa. A w świetle rzeczywistości dotychczasowych i wymiernych? T.zw. "linia Curzona" odcina od Polski pół jej terytorium i jedną trzecią jej mieszkańców. Zostawia poza obrębem Rzeczypospolitej wielomilionową ludność polską, polski dorobek kulturalny i gospodarczy, polskie, arcy-polskie miasta: Lwów i Wilno.

Stwierdzano tu tylokrotnie, że \* Por. artykuł Adama Pragiera: T.zw. "linia Curzona," druk w nr. 4 "Polski Walczącej" z b.r.

pragniemy porozumienia z Rosją — szczerego i trwałego. Ale dziś pisząc o tych sprawach, pod wrażeniem słów naszego wielkiego sprzymierzeńca i przyjaciela trudno nam nie wyrazić niewiarę w możliwość porozumienia zbudowanego na naszej krzywdzie. "Rozsądne i sprawiedliwe" w sprawie spornej wydaje się nam to, co jest jednak do przyjęcia w odczuciu słuszności i odczuciu sprawiedliwości obu stron, co wymierza obu stronom słuszność i sprawiedliwość jednakową miarą.

Trudno też uznać słuszność argumentu rosyjskiego na rzecz nowej granicy jako granicy zabezpieczającej Rosję od zachodu. Nie żyjemy i nie żyliśmy wobec niej wrogich uczuć — daliśmy tego dowód w r. 1939 i w r. 1941. Pomysł "kordonu sanitarnego" przeciw Rosji również nie w polskich zrodził się głowach. Rosja zresztą była już raz, w wyniku wiadomych wydarzeń, w czasowym posiadaniu ziem polskich aż po linię, która mniej więcej odpowiada t.zw. "linii Curzona," chociaż nie nosiła wtedy tej nazwy. Było by pomniejszaniem wielkiego wysiłku i ofiar Armii Czerwonej, gdyby ktoś chciał twierdzić, że dzięki tej linii Armia Czerwona obroniła skutecznie swój kraj i zadaje armii Hitlera dalsze miazdzące ciosy.

Nikt z nas, żołnierzy polskich, nie myśli pomniejszać dokonanych wojskowych. Ale pragniemy, aby te dokonania, wielkie i znaczące dla

wszystkich zjednoczonych narodów, nie przestaniły dokonywać każdego z nich, tych spośród nich, które walczą dłużej i bez przerwy, składając ofiary, proporcjonalnie takie same, jeśli nie większe.

Z naszym żołnierskim sumieniem nie godzi się możliwość wynagrodzenia jednego sprzymierzeńca kosztem drugiego. Gdyby to miało nastąpić, rozpadłyby się podstawy jedności, zerwałyby się więzy moralne łączące obóz zjednoczonych narodów.

Konieczność mówienia o tych sprawach uświadamia nam trudności przeżywanego momentu. Są to trudności wobec jakich nie stanął żołnierz żadnego narodu w tej wojnie. Ale właśnie dlatego chcemy im sprostać. Musimy im sprostać.

Winston Churchill nauczył nas żołnierzy polskich, że należy trwać nieugięcie na stanowisku słuszności. Winston Churchill nauczył nas patrzenia przez kłeski, zawody, rozczarowania — w daleką możliwość sprawiedliwego zwycięstwa. Winston Churchill nauczył nas wierności raz powziętym decyzjom, hartu woli, żelaznej nieugiętości. Hasłem jego, rzuconym w krytyczne dni 1940 r. narodowi brytyjskiemu było: "In adversity — defiance." Te duchowe niezłomności w przeciwnościach żołnierzy polski wykaże do końca.

Wierzymy nadal w celowość tej wojny i w celowość wszystkich naszych poniesionych w niej ofiar. Wierzymy w zwycięstwo hasel, w imię których ta wojna się zaczęła. Wierzymy w naszych sprzymierzeńców. Wierzymy, że "dalszy tok wojny przyniesie jeszcze wyprostowanie niejednej drogi politycznej i ostateczne zaprowadzenie w obozie narodów zjednoczonych rzeczywistej zasady sprawiedliwości jednej dla silnych zarówno, jak dla słabszych."

Nakazem dla nas są słowa Naczelnego Wodza, gen. Sosnkowskiego, wypowiedziane do lotników w dzień po mowie Premiera Churchilla w Parlamencie: "W tych najtrudniejszych chwilach, jakie Ojczyzna nasza przeżywa, nam bojownikom o Jej wyzwolenie nie wolno tracić wiary w przyszłość i w sprawy naszej zwycięstwa. Ufajmy, że sumienie świata odezwie się jeszcze, zachowajmy spokój i postępujmy wzorem Kraju, który bez wątpliwości walcząc będzie do upadłego. Wraz z naszymi sojusznikami bierzmy udział, aż wyczerpiemy wszystkie możliwości służenia na tej drodze własnej ojczyźnie, odrzucając zawsze służbę dla cudzych interesów i cudzej racji stanu, sprzeczną z prawami Polski i Jej niepodległości."

ALEKSANDER JANOWSKI

## Dekoracja złotym krzyżem "Virtuti Militari"



Dnia 23 b.m. na jednym z lotnisk Naczelnym Wódz udekorował mjr. Aleksandra Gabszewicza złotym Krzyżem Virtuti Militari "za pełne inicjatywy i odwagi dowodzenie skrzydłem lotniczym na terenie Wielkiej Brytanii w latach 1943 i 1944." Jest to pierwsze tego rodzaju odznaczenie w historii lotnictwa polskiego. Mjr. Gabszewicz brał kolejno udział w kampanii wrześniowej, francuskiej, w Battle of Britain, w akcjach ofensywnych nad kontynentem europejskim, "bił się — według słów Naczelnego Wodza — przeciw Niemcom we wszystkich kampaniach tej wojny, na wszystkich frontach, gdzie lotnictwo polskie brało udział w bojach."

## UDERZENIA W LUFTWAFFE

W ciągu ubiegłego tygodnia bombowce brytyjskie i amerykańskie dokonały olbrzymich wypraw na centra produkcji samolotów niemieckich. W tym czasie ok. 7000 maszyn sojusznicy zrzuciło 17.000 ton bomb na 15 ośrodków produkcji lotniczej Rzeszy. Niektóre cele atakowane były parokrotnie. Zestrzelono 600 myśliwców niemieckich.

Przypuszcza się, że produkcja niemiecka w dziedzinie samolotów wynosi ok. 2500 maszyn miesięcznie. Uderzenia w centra produkcji sprawiają, że według obliczeń sojuszników, produkcja myśliwców spadnie o 60 procent, natomiast maszyn bombowych o 25 procent. Ciosy wymierzone przez maszyny sojuszników — szczególnie uderzenia w Augsburg, Lipsk, Schweinfurt — są dobiorem nie dla samego sedna produkcji niemieckiej. Komunikat wydany przez amerykańskie władze lotnicze w W. Brytanii w sobotę dnia 26-ego lutego powiada, że ostatnie wypadki alianckie mogą oznaczać "zwróty punkt w wojnie lotniczej."

Plan sojusznicy polega najwidoczniej na niszczeniu niemieckiej siły powietrznej u samych podstaw. Doniesienia, jakie nadszły z kontynentu od jesieni r. 1943-ego powiadały, że Rzesza przerzuca maszyny bombowe i myśliwskie coraz liczniej na Zachód. Nie wiadomo było zrazu, jaki to ma cel. Okazało się, że maszyny te poszły częściowo do Włoch, gdzie wspierały akcję Kesselringa w czasie jego szturmów na przyczółek pod Anzio, a poza tym służyła dzisiaj do ataków bombowych na Anglię. Ataki te na razie są słabe, ale istnieją przypuszczenia, że mogą one wzrosnąć na siłę.

Najwidoczniej sojusznicy doszli do wniosku, że przed jakimikolwiek próbami inwazji trzeba zniszczyć możliwości lotnicze wroga. Obecna akcja jest właśnie wprowadzeniem w życie tych zamiarów. Jak długo potrwa ta akcja, nie wiemy. Może dłużej, niż przypuszczano, albowiem data inwazji wydaje się odwlekać — jak tego dowodzi przemówienie premiera brytyjskiego w parlamencie.

## PRZEMÓWIENIE PREMIERA CHURCHILLA

Po pięciu miesiącach milczenia premier Churchill zabrał głos w Izbie. Przemówienie jego dotyczyło głównie wyników militarnych; przegląd tych zdarzeń nasuwał wnioski, że wojna nie być końcowym rokiem zmagania. Churchill zupełnie słusznie przypomniał, że nie obiecywał kresu wojny na ten rok. Od dawna był on wyznawcą zasady, że dopiero może r. 1945-y stanowić be-

## Szkic sytuacyjny

dzie "kres wędrówki." Premier Churchill stał zawsze na stanowisku, że trzeba przede wszystkim wygrać wojnę. Jest premierem czasu wojny i za takiego uznaje go opinia brytyjska. Natomiast opinia państw Europy była skłonna podsuwać mu pewne inne cechy i własności. Churchill chce wygrać wojnę, wycofać się z areny i przejść do historii. Ta jego rola i udział nie są ani na chwilę wątpliwe. Zawsze jednak kiedy określał on zarzysy polityczne, plany przyszłości, czynił to jakby lękliwie, nie dopowiadając wniosków. Churchill chce w grać wojnę i dlatego pościwił dla tego celu wiele. Karta Atlantycka, której jest autorem, wydaje się obecnie całkowicie martwa. Od początku budzić ona musiała zastrzeżenia jako dokument bardzo ogólnikowy. Dzisiaj — jak to stwierdza poważna prasa angielska — Karta prawie się nie liczy. Jej drugi współautor, Roosevelt, milczy w chwili, gdy głos jego mogłby ją podtrzymać.

"Observer" z dnia 27-ego lutego w artykule p.n. "Principles" powiada, że ogół angielski nie może się z tym pogodzić. Że nie przeszedł on drogi "od idealizmu do cynizmu." Debata parlamentarna wykazała, że postawie nie podzielają polityki poddawania wszystkim wojennym koniecznościom. Debata ta nie wysłała pomyslnie dla rządu. Trzeba to powiedzieć jasno. Można by powiedzieć również, że przemówienie p. Edena było kierowane chęcią zatuszowania wrażenia stworzonego mową premiera. Staraj się on odwołać niejako do "wróżenia." Mowa jego była "a fighting retreat."

Ale powstaje pytanie, czy ten groźny czas jest odpowiedni na takie manewry? Czy polityka angielska

zdaje sobie sprawę, iż w miarę przedłużania się wojny zasoby moralne Europy słabną, że porzucanie owych zasad, o których tak mocno mówi "Observer" wywołuje wręcz fatalne wrażenie w Europie i że Anglia może przegrać największą stawkę swoich swoich: olbrzymi prestiż moralny, jaki dzisiaj ma na kontynencie? Europa nie może czekać w nieskończoność. To musimy mówić jasno i otwarcie, dlatego właśnie, że jesteśmy przyjaciółmi tego kraju, przyjaciółmi nie z koniunktury, ale z przekonania, że chcielibyśmy widzieć prestiż brytyjski wysoko i mocno ustanowiony, że chcielibyśmy, ażeby wpływy tego kraju były istotnie zakorzenione na kontynencie. Jeżeli strona brytyjska uprawia dzisiaj plain speaking pod naszym adresem, to Europejczycy powinni powiedzieć swoje równie wyraźnie i mocno.

Jugosławia, powiedział Churchill, walczą dzisiaj pod sztandarem Tity. Jest on "wspaniałym synem wolności." Jednak jego przeszłe dokonania i przyszłe zamiary nie budują przekonują Europe. Jeżeli przyjmujemy zasadę, że każdy kto bije Niemców — i tepry przy tym swoich braci, Serbów — jest dobry, to istotnie groźba nasza nie będzie zbyt wyborową towarzyszem. To są znowu względy moralne i tu znowu opinia brytyjska nie we wszystkim popiera pogląd oficjalny.

Debata parlamentarna i głosy prasy dowodzą, że również na temat Polski opinia publiczna Anglii nie ze wszystkim godzi się ze stwierdzeniami swojego rządu. Parlament wyraził swoje zaniepokojenie losom Polski; stwierdził, że zasada negocjacji była przetrwaną wojny, albowiem Hitler odrzucał tę zasadę. Dzisiaj zasada ta ma być poniechana.

Opinia publiczna Anglii okazała się czulsza na te względy.

Jest dzisiaj rzeczą jasną, że jeżeli pójdziemy drogą wojskowych konieczności, to uprawiamy politykę siły, a nie zasad. "Observer" odważnie podkreśla ten punkt. Ale to uczciwe pismo zaznacza — i słusznie — że "Anglia nie może sobie pozwolić na uprawianie polityki siły." Nie ma bowiem tej siły za wiele. Nie jest ona kolosem, jak Rosja, ani potęgą, jak Stany Zj. Musi ona liczyć się z owymi "principles," chociażby były one dla niej bardzo niewygodne.

Do stanowiska zajetego przez "Observera" nie można niczego dodać. Sprawa polska przeszła już dawno być zagadnieniem kraju i narodu — jest zagadnieniem ogólnym, moralnym, zagadnieniem, które wychodzi poza nasze granice. I na tym gruncie bronić jej będziemy. Jeżeli nie uzyskamy ram prawa, jeżeli nie przywrócimy szacunku dla prawa, dla norm postępowania, jeżeli zaczniemy nawracać na tory przemocy, tory znane z hitlerowskich zwotań — to skompromitujemy cel wojny, naszymi narody cynizmem. Nikt nie przetrzyma takiego obudzenia się cynizmu i tej fali cynizmu, a pierwsza Anglia odczuje na sobie skutki tej fali. Europa da sobie sama radę, jeżeli zobaczy, że jest poniechana: podać się potrafi każdy. Nie chcemy zachęcać do poddania; chcemy angielskiej siły i pomocy. Bensusa trzeba było jeszcze zmuszać do ulęgiłości, ale Hacha znalazł się sam.

## "GENERAŁ ROLA" NA WIDOWNI

Ten sam "Observer" donosi, że kroki sowieckie w Polsce są coraz wyraźniejsze. T.zw. krajowa rada narodowa, o której stworzeniu do-

nosły stacje sowieckie, powołała na stanowisko "wodza naczelnego" jakiegoś "generała Rola," którego szefem sztabu jest niejaki "Witold." "Generał Rola" jest oczywiście polskim Tita.

Ten samozwańczy generał wydał już rozkazy, zaznaczając, że podlega mu nie tylko jakieś mityczne "wojska krajowe," ale także w armii w Szkocji oraz armia we Włoszech i na Bliskim Wschodzie. "Observer" daje tej wiadomości nagłówek, że mianowany został "rywal generała Sosnkowskiego."

Wszystko to dowodzi, że strona sowiecka postanowiła przyspieszyć tempo. Nie było by w tym nic dziwnego, gdyby owa krajowa rada narodowa wybrała niebawem "przy pomocy systemu najbardziej demokratycznego" jakiś "rząd." "Rząd" ten, oświadczyliby się, oczywiście, że "ścisłym sojuszem z Rosją, a za zgodą z sojusznikami." Tak bowiem "Observer" określa cele polityczne owej krajowej rady narodowej. Widać, że "rada" ta /czy raczej zdrada/ wcale dobrze rozróżnia między Rosją a zachodnimi sojusznikami. Tych ostatnich jeszcze się toleruje w odniesieniu do Polski. Ale niewiadomo, jak długo.

Polityka rosyjska uważa, że Polska powinna zawrzeć pakt dwustronny z Rosją i że wszelkie gwarancje "obce" są zbyteczne. Teoria paktów dwustronnych nie jest nowa: znamy ją z ust ministra J. Becka. Okazało się jednak, że system ten zawodzi. Jeżeli zawiódł wtedy, kiedy była jeszcze Liga Narodów, kiedy istniały jeszcze międzynarodowe instancje, kiedy Rosja nie była "the dominant military Power on the Continent," jak to przynajmniej dzisiaj opinia brytyjska, to jakże układ dwustronny z Rosją może skończyć się inaczej aniżeli stosunkiem lennym? Bez stworzenia ram bezpieczeństwa europejskiego każdy układ państwa t.zw. mniejszego z "Great Power" musi się do tego sprowadzać.

Pewne karty spadają szybko. Może to i lepiej. Lepsza jest najgorsza prawda, aniżeli najlepsze złudzenia. Lepiej, że polityka pewnych państw powiada wyraźnie do czego dąży. Same wypadki i same posunięcia będą mówić za siebie, będą wołały głośno, coraz głośniej — lepiej i skuteczniej, aniżeli jakiegokolwiek dowodzenia, które zawsze ochrzczi się mianem "propagandy."

Dla nas Polaków obowiązki określone zostały w przemówieniu generała Sosnkowskiego: wytrwać i walczyć dalej, mimo narastającego rozgoryczenia.

Londyn, dnia 28.II.1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

## Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę — dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczas suma zbiórki wynosi 3553 książek

# Żołnierze polscy we Włoszech

B.D.I.C

(Korespondencje własne "Polski Walczącej")

## Mój pierwszy patrol

### WYRUSZAMY

Ktoś mnie szarpnął za łokieć. Trudno mi powiedzieć, dzisiaj, czy spałem wówczas, czy nie. Na krótkiej odprawie wczorajszego wieczora, dowódca plutonu zapoznał nas z zadaniem, powiedział wszystko, o czym idący na patrol wiedzieć powinien, to i owo przypomniał. Zbyszek i ja dostaliśmy przydział do plutonu drugiego w charakterze obsługi radiostacji.

—Czas już?  
Czułem się wyczerpany. Zbyszek chrupał suchary, usadowiwszy się wygodnie na użytych bateriach, jakbyśmy mieli wyruszyć dopiero po godzinie. Sprawdziłem zawartość plecaków i torby, która wypełniały słuchawki, baterie i mikrofon — raczej z przyzwyczajenia. Czasu mieliśmy niewiele. Czułem wewnętrzną potrzebę bezcelowego choćby krzątania się, by właśnie ten czas nie sprawiał mi ciężaru.

Noc stosunkowo ciemna. Oparty o ścianę wartownik w milczeniu przeprowadzał nas wzrokiem, gdyśmy skręcali w uliczkę, prowadzącą w stronę m.p. plutonu por. Z.

—Gotowe?  
Widziałem dno wojskowego kubka i pytając wlepione w nas oczy spożywającego oryginalnie wczesne śniadanie.

—Tak jest, panie poruczniku.  
Z "pudełkiem" na plecach musiałem być podobny do bardzo obciążonego muła.

—Ty... pchełko tutaj? —  
Wojtek zwykł mnie stałe witać na swój sposób, ale nie przypuszczam, by przemawiała przez niego złośliwość lub chęć dokuczenia.

—Pan kapitan... — rzucił któryś ode drzwi.

—Dziękuję, jedzcie śniadanie, jedzcie... — "Stary" znał porucznika i wiedział, że bez raportu się nie obejdzie. Paląc papierosa, tyłem odwrócony do ogniska kominka, przesuwał spojrzenie po twarzach przygotowujących się do odmarszu.

—Granat masz?  
—Przełóż magazynki do ładownic... Z chlebaka będziesz wyciągał, jeśli do ciebie wygarnie? — "Stary" pamiętał o wszystkim. Nie zrzędził, jego uwagi zwykł każdy traktować serio. A fakt, że szczegółów się nawet dopatrzył, nikogo z nas nie zdziwił. Każdy wiedział, że "idealnym pedantem" on tylko być może. Powtarzając instrukcje, nie rozwoził się długo, lecz w urywanych zdaniach mięciło się wszystko.

—Dowidzenia... — rzucił raptem i popatrzył na nas raz jeszcze.

Nie wiem dlaczego, ale to słowo wywarło na mnie najmocniejsze wrażenie. Nigdy dotychczas nie zwracałem uwagi ani na sens właściwy, ani na sposób wypowiedziania... "Dowidzenia" było czymś najbardziej zwykłym, z czym stykałem się dziesiątki razy dziennie, było tak stereotypowe, jak "dzień dobry", czy coś w tym sensie. Wówczas mięciło coś więcej... na pewno więcej... i wątpię, by kiedykolwiek do tego słowa można się przyzwyczaić.

### PODCHODZIMY DO NIEPRZYJACIELA

Wyszliśmy gęśno, porucznik, Adaś, obsługa r.k.-emu, my i reszta z k.b. Placówki były uprzedzone. Łagodny stok przechodził w spadzią ścianę i w pewnych momentach wolne zejście miało charakter biegu. Ze wzrokiem utkwionym w dół przeskakiwaliśmy z kamienia na kamień, czepiali się skalistych występów, zapadali w wyrwy, by stanąć przez sekundę nad niewielkim urwiskiem jaru i skoczyć dalej. Było na tyle widno, że można było bez trudu rozróżnić każdą sylwetkę.

Strome zejście przechodziło wreszcie w łagodniejszy nieco stok. Musieliśmy już zachowywać pewne środki ostrożności. Miejscami istne szpalery krzewów, kamienie i wklęsnięcia terenowe mogły służyć nieprzyjacielowi za wspaniałe punkty, z których w każdej chwili mogło wyjść zaskoczenie. Ciemna ściana lasu na stoku góry z naszej strony nakazywała patrzeć nawet na szczegóły bacznie, krytycznym

okiem. Nie byliśmy przecie pewni, że grasujemy swobodnie po jarach i wąwozach, że Niemcy nie przedsięwzięli tych samych kroków, że nie przez przypadek — możemy natknąć się na równie silny patrol, idący w tym samym celu, co i my, jeno w stronę naszych stanowisk.

Przystawaliśmy coraz częściej. R.k.m. zajmował stanowisko gdzieś na uboczu, by ubezpieczyć szperaczy, którymi w tych wypadkach byli porucznik i Adaś. Gdzieś w dole błyskało światło. To Niemcy, odrodzeni od nas polami minowymi na całej długości rzeki i wstrzelanymi w przejścia c.k.-emami — nie starali się ukrywać swej obecności.

Denerwowała ta ich swoboda. Wiedzieliśmy, że nieprzyjacielskie załogi na tym odcinku — to oddziały wyborowe. Świadomość, że zbliżamy się do ich stanowisk, że w każdej minucie możemy się zetknąć twarzą w twarz — podwajała złość na tę ich pewność siebie. To była oznaka lekceważenia wroga... To była prowokacja... To była wiara w owe miny, we własne siły, w swoją wyższość.

Drapaliśmy się ciągle stromym zboczem. Spod nóg usuwały się grudy ziemi, kamienie, kępy trawy. Zatrzymując się dla nabrania oddechu słyszeliśmy szmer spadających bryłek. Oddalony, suchy, szybki ruch. Oparłem się mocniej na łokieć. Spaść śladem odłamków, to rozbić radiostację i zostać z połamanymi gnatami, gdzieś w dole... Buty na gumowych podszewkach "spełniały swą rolę" należycie... —

—By cie krew zalała...  
Wojtek, zdało się, mówił do samego siebie. Nikt się nie odezwał. W szmerze słychać ostrożne stapania, czasem kląsk stopy zapadającej w błoto przy potoku.

### "ABY ZASIEGNAĆ JEZYKA..."

Wysuwamy się na bardziej otwartą przestrzeń. Nie jesteśmy na horyzoncie, ale widoczność jest teraz lepsza. Od najbliższego żywopłotu dzieli nas kilka skoków. Porucznik i Adaś szybko pomknęli w tamtym kierunku. Psyknęcie. Wysuwa się r.k.m. i my.

—Wojtek... ubezpieczysz nasz ewentualny odwrot, stając przy cmentarzu. Ja z podchorążym zasięgniemy języka we wsi...

Porucznik mówił to przyciszonym szeptem. Adaś ubezpieczał nas w międzyczasie, ukryty za drzewami. Sierż. Sz. przejmuje inicjatywę w swoje ręce. Stary żołnierz, były podhalanin.

—Zbyszek... tutaj. Z obserwacją na tę drożynę. Masz tylko pistolet? Zostaw ci k.b., bo gotowi ci sprzątnąć. R.k.m. na skraj cmentarza. Ty... ze swoim patefonom... przy tamtym murze.

Cicho, ostrożnie skradaliśmy się ku wyznaczonym stanowiskom.

kom. W kaplicy leżały jeszcze trupy rozstrzelanych przed dwoma dniami. Ciemne sylwetki krzaków wyglądały, jak skulone postacie ludzkie. Zza chmur wypływał księżyc. W srebrzystej poświacie białawy pierwsze zabudowania — ciche, zadrzemane jeszcze.

Ciszę nocy przerwał skowyt, potem szczenie psa. Nasi są już na pewno we wsi. Nasłuchuję, czy nie rozlegnie się strzał, czy nie odezwał się zmieszane głosy, czy tupot nóg nie nakaże nam przyjąć pozycji wyczekującej. Pies szczał bez przerwy. Ze środka wioski nie dochodził żaden inny szmer.

Teraz rozumiałem ryzyko, jakim było przyjsię aż tutaj. Miałem za sobą nieco doświadczeń z roku 1939, byłem w natarciu i odwrocie, stałem na wysuniętym punkcie, leżałem w dołku strzeleckim w obronie — lecz w takim patrolu uczestniczyłem pierwszy raz w życiu. "Robota," godna charakteru, w jakim nas szkolono.

"Komandosowska."  
Ktoś psyknął. Korzystając z ciemnego tła, szybko przebiegliśmy w dół, poza żywopłotem ku wiosce. Od jej strony przesłaniała nas linia drzew.

Szczyt pagórka. Obejście po lewym stoku. Szybko przebramy odkryty odcinek, jakieś oplotki, ruiny zbombardowanego budynku. Porucznik z Adasiem podkradają się ku odosobnionym zabudowaniom na skraju wsi.

### JESTEŚMY WE WSI

W chałupie tłoczno. Ciasnym półkolem stały kobiety i dzieci wokół kominka, niezdecydowane co robić. Nie wiedzieli, kim jesteśmy i w jakim przybyliśmy celu.

—"Tedeski" — ktoś szeptem.

Są strwożone, bezsilne. Niemcy składają tu tak częste "wizyty," że się już do tego przyzwyczaili. Jeno trudno przyzwyczaić się do widoku wyciąganych ofiar, rozstrzeliwanych bez winy, racji, bez sądu — na oczach wszystkich... Trudno przyzwyczaić się do biernego zachowania się wobec grabieży, gwałtów i zabierania ze sobą zdolnych do pracy. Cabalero w kilku słowach rozwiewa ich obawy. Stali się momentalnie uczynni i... gadatliwi. Wobec ich gadatliwości z kolei porucznik jest bezradny i trzeba uciekać się do forteli a la Zagłoba, by uciszyć te duże dzieci i odzyskać swobodę działania.

—Nawiazać łączność... — słyszemy głos porucznika — R.k.m. i jeden Tommy-gun zajmą stanowiska z tamtej strony...  
Dopatrywał osobieście, czy wyznaczone posterunki obserwacyjno-alarmowe dobrze wystawiono. Podchorąży wylamywał żerdzie żywopłotu, przygotowując drogę, jeśli — w wypadku wykrycia — bylibyśmy zmuszeni do wycofania się. Włosi przeglądali się nam w milczeniu. Może dziwił ich nasz

język. Może domyślali się, że nie jesteśmy Anglikami.

### NAWIAZUJEMY ŁĄCZNOŚĆ RADIOWĄ

Dochodziła godzina ósma. Dostrajanie się do stacji kierowniczej zajęło nam więcej czasu, niż normalnie. W pewnej chwili głos zanikał, zanikał, i ucichł. Zbyszek kłął z cicha obsługę... tamtej stacji, delikatnie poruszając pokrętłem odbiornika.

—Złapałście ich?  
—Nie jeszcze, panie poruczniku. Odebrałem ich fałę strojenia, ale nie pokwitował naszej siły...

Porucznik wyszedł do przyłegłego pokoju.

A tymczasem z domu, w którym bawiliśmy — sąsiedzi naszych gospodarzy urządzili jakiś "dom pielgrzymki." Coraz ktoś przychodził, mówił "buon giorno," popatrzył na przybyszów i zostawał. Podobne odwiedziny nie były nam wcale na rękę. Nie należało ufać ludności cywilnej a szczególnie tutaj. Porucznik energicznie zagroził gospodarzom, że jeśli składanie niepożądanego wizyt trwać będzie nadal, konsekwencje mogą być dla nich nieobliczalne.

Poskutkowało. W pewnej mierze odniosło jednak wręcz odmienny rezultat. Do chaty weszło trzech młodych ludzi, ofiarowując swe usługi. Brata jednego z nich przed dwoma dniami ciężko zranili Niemcy. Przemawiała przez niego zemsta. Znali go ludzie... znali historię strzałów. Cichym pomrukiem wyrażali swe współczucie, gdy opowiadał.

—Halo, Able one... O.K....

Over...

Łączność była nawiązana. Porucznik notował informacje, podawane przez Włocha. W tamtym budynku — około 30 Niemców... obok, w dwóch przyłegłych, obsługi r.k.-emów... Tutaj, na skraju wielkiego kamienia — stałe stanowisko c.k.-emu... Włoch stał przy oknie, wyciągniętą ręką pokazując punkty w terenie. Porucznik narzucał szkice na ćwiartki papieru.

Dyżur przy radiostacji i przy oknie, z którego obserwowaliśmy, trzymaliśmy z porucznikiem na zmianę.

### KIERUJEMY ARTYLERIA — BEZ POWODZENIA

Dziwne kojarzą się uczucia, gdy przez szkła lornetki obserwuję budynki, w których podobno są Niemcy. Dzieli nas rzeka. Górską, rwącą, burzliwą. Patrole angielskie, które były tu przed nami, nie przekroczyły jej w tym miejscu. D-two odcinka dotychczas nie wiedziało o tym, że Niemcy zamierzali jej wybrzeże. Pierwszych informacji udzielił im Polacy, używając je kosztem życia st. strz. Roguckiego. Za rzeką — przed nami niezbyt szeroka — są oni. Najwyżej jakichś 400 metrów. Przyczajeni, zamaskowani, czujni

czujnością wypróbowanego, doświadczonego żołnierza.

Naszym zadaniem jest uzyskać wiadomości o npl., w miarę możliwości przyprowadzić jeńca... Domki i stanowisko c.k.m. nie dają najmniejszych znaków życia. Mimo gorących zapewnień Włocha mamy pewne wątpliwości. Przecież zbliża się południe. — Choćby najłżejszy ruch musi zdradzić obecność ludzi. A domki tymczasem milczą.

—Musimy się czegoś dowiedzieć... — Porucznik studiował mapę, wypisywał współrzędne, znów studiował.

—Halo, Able one... Message for you... Over... — zgłasza Zbyszek.

... Message begin... Two houses... L.M.G... Figures... — dyktuje.

Czekamy. Niecierpliwie się. Wiadomości tu uzyskane, mają być drogą radiową przekazywane bateriom artylerii. Dziesięć minut. Piętnaście... Porucznik tłumaczył to wyszukiwaniem celu przez oficera-observatora. Osiemnaście... Buuum... W górze jakby chichot, szloch i syk. Serce łomocze w pierśiach szybko, niczym po biegu. Trafił... Chciałbym te szkła zmusić do powiększenia, w te szkła chciałbym wleźć... Chciałbym być tam, gdzie pocisk uderzy, zniszczy, rozbije... Pilnie wpatruję się w "swoją odcinek"... I — chybił. Padł w pobliżu ostatniego, czerwonego budynku. Porucznik studiuję mapę. Niemożliwe... tu musiała być pomyłka. A może...? I patrzy na nas.

Zbyszek bez słowa zakłada słuchawki. Pytania, poprawki, upewnianie się... Więc dobrze... A dlaczego jednak...? Echo rozbiega się po górach, kula po stoku, cichnie w lesie... Pociski artylerijskie ryją ziemię, padają w budynek i pobliską drogę. "Nasz cel" nie jest ostrzeliwany...

Przez resztę dnia staramy się uniknąć rozmów na ten temat. Zawiedliśmy się na artylerii... Zmiany przy radiostacji, r.k.-emie i punktach obserwacyjnych odbywały się normalnie, ale myśl uparcie wracała do tego, czego żaden z nas nie mówił głośno — jakkolwiek nie mogliśmy polegać na informacjach ludności cywilnej. To nie jest konkretne, lecz jeśli się podaje cele artylerii...?

### WRACAMY Z POWROTEM

Zapadał zmierzch. Przygotowywaliśmy się do odmarszu, by jeszcze przed nocą zająć miejsce na zasadzkę. Niemcy zwykli przechodzić bród na wprost skraju wioski. W kilka minut po czwartej stwierdziliśmy ich obecność w pewnym domku. Może dziś "odwiedzą" wioskę... Przemawiała za tym wystrzelone z moździerza pociski, które padły w pobliżu jednego z naszych punktów obserwacyjnych. Jeśli Włosi im powiedzieli — na pewno przekroczą bród.

Mżył drobny deszczyk. Porucznik wydał nam dyspozycje, kończąc:

—Puszczam was dłuższą, lecz bezpieczniejszą drogą. Marsz zabezpiecz więcej czasu... — dodał z uśmiechem. — Trafic łatwo, bo tamte dwie charakterystyczne skały widać wszędzie.

Przekonaliśmy się wkrótce, że trafić łatwo nie było. Zaledwie zesłaliśmy po stromym stoku w jar — opadła mgła. Padła drobna mżuga, ciemności spowijały góry gestym całunem, szliśmy, jak po omacku. Nie sposób było dojrzeć szczyty. Dołem wiał wiatr — zimny, ostry. Od strony wsi dobiegały nas odgłosy strzałów.

Nie wiedzieliśmy, czy nasi natknęli się na Niemców, czy barbarzyńskim zwyczajem Niemcy ostrzeliwali wioskę bez powodu. Tak samo nie wiedzieliśmy, jak i o tym, że artyleria angielska zmieniła dziś rano stanowiska i owe strzały "na ciemno" były jeno zmyleniem czujności wroga.

Ktoś wystrzelił białą rakietę. Ktoś... porucznik nie miał rakietnicy. Odruchowo padliśmy na mokrą trawę. Stałem się dojrząć coś na przedpolu, ale mgła była zbyt gesta.

Z głębi jaru wyleciał drugi pocisk rakiety.

—Italia, 11 stycznia 1944 r.

## Pierwsza depesza

Dla "Polski Walczącej" przez Polish Press Telegraph, Londyn,

Godzina 1-rano, 17 lutego 1944

Po długich oczekiwaniach, po kilkunastu zaprzeczeniach, odwołaniach, sprostowaniach, wielka wiadomość została ogłoszona przez "oficjalne czynniki" w porannym komunikacie. W ciągu następnych 24 godzin urzało w spokojnym dotychczas świecie korespondentów zagranicznych, znajdujących się w kwaterze prasowej 8-jej Armii.

Nazajutrz o siódmej rano pięć "Jeep'ów" i dwie ciężarówki podskakiwały na zniszczonych szosach środkowego łańcucha Apeninów. Pierwsza wizyta dwunastu amerykańskich i brytyjskich korespondentów wojennych w Korpusie Dywizji Karpackiej.

Padł śnieg, koło południa rozpoczął się buran i skamuflował malownicze Apeniny w północny Ural. "Jeep'y" grzęzły, zapadł dziennikarski tajak.

Śniadanie jedliśmy u dróżnika w małej wiosce zapomnianej przez wojnę. Dróżnik podobny do Musso miał trzy córki, trochę wina i wiele ambicji amfitriona.

Spędziliśmy tam 16 godzin wśród terkotu "Remingtonów": dziennikarze nie tracąc czasu pisali reportaże o dzielnej postawie naszych wojsk i potocznych piosenkach neapolitańskich; córeczki, nie tracąc czasu, podtrzymywały koloryt lokalny. W nocy huragan zerwał część dachu. Byliśmy zmarznięci, szybki powrót do domu narzucał się, jako jedyne rozsądne rozwiązanie.

Słońce stało już wysoko, gdy plugi śnieżne oczyściły drogę.

Wieczorem byliśmy w m.p. sztabu Dywizji, przez dwa dni jeździliśmy po różnych odcinkach frontu, na którym walczą polscy żołnierze. Wszyscy mają jeden cel, jedną myśl, jedną nadzieję. Są radośni, skupieni.

Wracaliśmy zmęczeni, milczący. W małej willi nad morzem w sztabie prasy znów zagrały nerwowo "Remingtony."

W kilka godzin później w świat poszła wiadomość, że Polacy walczą we Włoszech.

ADAM NATANSON

JERZY CZ

# Ziemia zagrożona

Czego więcej: serca cierpiącego czy myśli gorączkowo pracującej — gdy mowa o Lwowie i Ziemi Czerwieńskiej, ziemi zagrożonej? Jaka jest inna ojcowizna, której tkliwe przeżywanie i ostre zmysłowe wyobrażenie na tułactwie apelowałyby z równą siłą do władz sączenia i do władz poznania, do uczucia i do rozumu, gdy bije godzina grozy!

Historia polityczna i gospodarcza, dzieje ducha, nauki i twórczej wyobraźni, przyroda i geopolityka — wszystko to tworzy dzieło woli ludzkiej i natury Bożej, której z obrazu i terytorium Polski ni wykroić ni wydeportować nie można, jeśli okaleczoną śmiertelnie nie ma być całości i porażony kręgosłup Rzeczypospolitej.

## W CIĄGŁYM ZWIĄZKU Z PAŃSTWOWOSCĄ POLSKĄ

Nestor ruski pod rokiem 981 zapisał, że Włodzimierz Kijowski zawołał polskie grody Czerwieńskie i Przemyśl, biskup praski Wojciech położył wschodnie granice biskupstwa krakowskiego w wieku X-tym na rzece Seret, najstarsze nazwy miejscowości, ślady działalności polskich zakonów misyjnych w głębokim średniowieczu — to wszystko nieodparto świadectwa korzennej praproskości Ziemi Czerwieńskiej. Nie było właściwie ani jednego Piasta, który by polityką lub orężem przez 300 lat z górą nie usiłował przywrócić praw polskich do tej ziemi, zburzonych najazdem w wieku X-tym. Wszyscy wybitniejsi spośród nich, Chrobry, Śmiały, Sprawiedliwy, Leszek Biały, Łokietek, konsekwentnie i wytrwale dążyli do odbudowania faktycznego i prawnego stanu rzeczy.

Nie sama wszelako ambicją odebrania własności i nie żądza panowania leżała u podstaw tych usiłowań. Przez Ziemię Czerwieńską raz po raz przewalaly się zagony Tatarskiej Ordy Kipczańskiej, której wpływy przemieniały się w ciągu wieków na protektorat tej ziemi. Ciemny, azjatycki cywilizację niosący wschód parł coraz zuchwalej, zagrażał coraz realniej podstawom kultury zachodniej, i łacińskiej, której rycerską awangardą była piastowska Polska. Temu niebezpieczeństwu przede wszystkim stawali czoło Piastowie, do jego usunięcia i złamania raz na zawsze, wśród ofiar i trudów wojennych dążyli.

To dążenie ukoronował zwycięstwem ostatni Piast Kazimierz Wielki, gdy po śmierci swego szwagra ostatniego księcia halickiego /Piasta zresztą/ Jerzego II-go /Bolesława Trojdenowicza/ wszedł w r. 1340, jako prawny spadkobierca z powrotem w posiadanie Ziemi Czerwieńskiej.

## ROZKWIAT MATERIALNY

Od tego czasu minęło lat 600. Przez 430 lat /1340 — 1772/ Ziemia Czerwieńska była częścią składową Korony Polskiej w Rzeczypospolitej. Przez 150 lat /1772 — 1918/ przeżywała okres zaboru austriackiego. Przez 20 lat następnych /1918 — 1939/ cieszyła się szczęściem wolności w odbudowanym państwie. Od 5 lat wraz z całą Ojczyzną zakuta w jarzmo nowej niewoli — srożej jednak, bo dwiema kolejno okupacjami doświadczone.

Pół tysiąclecie blisko okres zrostu Ziemi Czerwieńskiej z Koroną Polską w starej Rzeczypospolitej wyrzył trwałe, niezatarte nigdy piętno w obliczu materialnym tej ziemi i wyrzeźbił jej kulturalną indywidualność. Władcy Jagiellońscy a później królowie elekcyjni włożyli wiele żywej troski w rozwój gospodarczy tej krainy. Lwów otrzymałszy od ostatniego Piasta słynne prawo składania towarów, stał się głównym węzłem handlowym, a ziemia nad Dniestrem magistralą pośredniczącą we wzajemnym przekazywaniu produkcji na międzyrzeczje bałtycko — czarnomorskim. Bogactwo i przepych wytwórczości Bliskiego Wschodu, przepych krajów bałkańskich i naddunajskich, tudzież słynnej kolonii handlowej na Krymie, Kaffy genueńskiej docierały „per viam de Lollo” tzn. przez Lwów do centralnej i zachodniej Polski i dalej do Niemiec, Francji, Anglii. Polska znowuż za pośrednictwem Lwowa, szlakiem Dniestru i Dunaju przekazywała południowemu wschodowi europejskiemu i Malej Azji zboże, sól, płótno, narzędzia rolnicze i broń. Rostał zamożność tej ziemi, krystalizowała się jej misja historyczna w Polsce; łącznika między zachodem a południowo-wschodem środkowej Europy. Bogate i zadowolone

mieszkaństwo zaludniało miasto, rozkwitała przedsiębiorczość, inicjatywa kupiecka, tworzyły się warunki dla powstania tak niezbędnego Polsce stanu średniego.

## OBLICZE DUCHOWE

A z dobrobytem materialnym rozkwitała kultura. Bogaty mieszczanin — kupiec lwowski z dalekich podróży często przywoził zaszczytny dyplom doktorski prastarych uniwersytetów włoskich, najczęściej jednak Wszechnicy Jagiellońskiej. Kultura wolności, równa prawa dla wszystkich stały się magnesem przyciągającym. Mozaika narodowościowa Ziemi Czerwieńskiej a w szczególności Lwowa — Niemcy, Rusini, Ormianie, Tatarzy, Żydzi — zesparała się rychło w jeden stop pod dobroczynnym działaniem kultury polskiej. Dobrowolnie bez jakiegokolwiek przymusu, wszyscy — bez różnicy wiary, języka i pochodzenia — przyjmowali polski obyczaj, strój, mowę, nazwiska, przede wszystkim jednak ducha polskiego.

Trudno naprawdę o bardziej przekonujący dowód tego państwowego patriotyzmu różnych „nacji” na ziemi lwowskiej. Jak owe natarczywe przez trzy wieki próby mieszczan, szlachty, bojarów i ludzi różnego autoramentu, zanoszone do tronu, aby raz po raz potwierdzał w sposób najbardziej formalny i uroczysty związek nierozwalne Ziemi Czerwieńskiej z Koroną. Nie wystarczało tym „nacji” zapewnić Jagieli w r. 1389, że: „Lwów i ziemia lwowska nigdy żadnemu księciu ani panu oddane nie będą, ale po wieczne czasy z Koroną Królew-

1658 na myśl nie przyszło, aby do tworzonych wówczas W. Księstwa Ruskiego nad Dnieprem przyłączyć Ziemię Czerwieńską i jej stolicę. Były one od początku integralną częścią Korony i od świata zabruczańskiego różniły się nie tylko organizacyjnie, ale także stylem życia, zespołem pojęć i wartości kulturalnych.

## PRZECIWI NIEMCZYŹNIE

Podczas 150-cio letniego okresu niewoli austriackiej rola Lwowa i Ziemi Czerwieńskiej w życiu podbitej Polski była inna. Zmienił się napastnik, który dotychczas niósł zagładę polskości tej ziemi. Odrodzona od Wschodu hermetycznie zamknięta granicą monarchii habsburskiej — ziemia ta stanęła w obliczu nowego, nie mniej jednak groźnego niebezpieczeństwa zniemczenia od strony zachodniej. Kolejno po sobie następujący cesarze austriacy od Józefa II. aż po okres konstytucyjny /t.j. do r. 1867/ — nie pozostawiali żadnych złudzeń i wątpliwości co do tego, jakie zamiary żywi i do jakich celów dąży austriacka polityka na terenie t.zw. Galicji, przekazana historii pod osławionym hasłem: „dziel i rządź” /„divide et impera”/.

„Naród polski — formułowała swój program cesarska komisja nadworna — należy powołać w ludność niemiecką przekształcić, jego zwyczaj, sposób myślenia, uprzedzenia zmienić, jednym słowem należy go wynarodowić. Tylko zaprowadzenie różnicy w obyczajach narodowych, w mowie i wychowaniu między Galicją a Polską będzie najpewniejszą rękocią prze-

w organizowaniu życia społecznego, gospodarczego, samorządowego, kulturalnego i politycznego. Zabyły one niezapomnianymi zasługami podczas ery konstytucyjnej, nieprzerwanie trwającej aż do odzyskania niepodległości w r. 1918. Ostoją i warszatem tej pracy, która z „Galicji” uczyniła Piemont, twierdząc polskości stały się: Sejm krajowy, różne instytucje gospodarcze, samorządy miejskie z lwowskim jako pionierem na czele, spolszczony z powrotem uniwersytet Jana Kazimierza, Akademia Weterynaryjna, Politechnika Lwowska, największa w Polsce organizacja oświatowa: słynne Towarzystwo Szkoły Ludowej, reprezentacyjny teatr lwowski, liczne stowarzyszenia, w których pulsowało bujne życie publiczne.

Naród podbity, pozbawiony niepodległości, stworzył pod obcą i wrogą władzą suwerenną, jakby własne państwo, wyposażone we wszystkie niezbędne organy działania. Na czele administracji stali namiestnicy-Polacy, do rządu centralnego w Wiedniu powoływani byli polscy mężowie stanu, którym powierzano nawet kierownictwo nawy państwowej, szkolnictwo, wyższe uczelnie, życie gospodarcze przeszło w ręce polskie.

Co więcej! W przeddzień pierwszej wojny światowej naszkicowane wyżej przeobrażenia stwarzają korzystne warunki dla rozwoju narodowego ruchu politycznego i czynu niepodległościowego. We Lwowie powstaje — pierwszy w Polsce — program ruchu chłopskiego, około którego w r. 1895 skupiają się pierwsi „ludowcy,”



Herby miasta Lwowa i rodziny Sobieskich

stwa Polskiego nierozdzielna stanowiąc mają całość, aby pod tą opieką trwałe się pokrzepiły.” Jeszcze w r. 1578 domagali się mieszkańcy tej ziemi u Batorego odnowienia zobowiązań królewskich z r. 1389 i rzeczywistie odnowienie takie uzyskali.

Najchwalebniejszy egzamin z tego patriotyzmu składał Lwów i Ziemia Czerwieńska w oczach całego świata w wieku XVII-tym. Wtedy to ziemia ta, która w ciągu sześciu wieków dwadzieścia razy zasłoniła ojczyznę i Europę całą przed zalewem wschodniej nawały — stała się twierdzą niezłomną, o której hetman kozacki Doroszenko w r. 1672 powie: „nikt przeczyć nie może, że jeden Lwów zgłębione królestwo teraz i w innych razach podźwignął,” a poeta Sebastian Klonowicz apostrofować będzie w uniesieniu dziękczynnym:

„Lwowie, my ciebie kornie  
pozdrawiamy,  
Bo losy świata w twych murach  
się ważą!”

W tych czasach na wieki przylgnęło do herbowej tarczy miasta najwznioślejsze i najwymowniej treść związków ideowych Lwowa z Polską odtwarzające określenie: „semper fidelis” — „zawsze wierny.”

Do końca XVII-go wieku, Lwów nigdy nie skapitulował, bronił mężnie swych murów, ludności i praw suwerennych Polski. Stał się chlubą i sławą całej ojczyzny za wzór kładziony innym miastom, nobilitowany za swe zasługi przez sejm koronny w r. 1658, wyróżniany przez królów, zwłaszcza przez Sobieskiego, który szczył się obywatelstwem tego grodu.

Taki był trzy wieki temu wkład Lwowa i Ziemi Czerwieńskiej do sprawy ojczyzny. Wkład wywołujący się z tak organicznego zespolenia tej ziemi z Polską, że nawet twórcom Unii Hadziackiej w r.

ciw życzeniu powrotu do Rzeczypospolitej.” Ten program próbowała przeprowadzać polityka wiekańska przez wiek cały z żelazną konsekwencją za pomocą terroru fizycznego, więzień, szubienicy, poprzez niemiecką administrację, niemieckie szkolnictwo średnie i uniwersytet, drogą znieprawiania obyczajów, niszczenia wszelkich objawów własnej kultury, dławienia wolności słowa i t.p.

Nadaremnie! Dzieje polityczne znały mało przykładów równie bohaterkiej odporności narodowej, która ostatecznie odniosła triumfalne zwycięstwo we wszystkich dziedzinach życia nad przeciwnikiem, wyposażonym w walce z polskością we wszystkie środki materialnej przewagi. Prześladowane życie polskie zeszło do podziemi konspiracji. Tu płonął zniech myśli i woli narodowej, stąd zasilano sprawę szeregów powstań w r. 1831 i w r. 1863, do których tłumnie śpieszyła stąd młodzież miejska i chłopska, nie tylko polska, ale i ruska, a nawet niemiecka — synowie dygnitarzy austriackich w ciągu kilku lat przez przebywanie w środowisku polskim polszezeli i przejęci do głębi idea wolności ujarzmionego narodu. Słynny Zakład Narodowy im. Ossolińskich był przez długie dziesięciolecia centralą tej tajnej pracy rewolucyjnej, prowadzonej w ścisłym porozumieniu z emisariuszami Wielkiej Emigracji. Drukarnia Ossolineum tłoczyła tajne ulotki, czasopisma, dzieła wielkich polityków i romantyków, stąd wyszły „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego,” stanowiące wówczas ewangelię życia narodowego.

## BUDOWANIE POLSKOŚCI

Ta twarda, codzienna walka z zaborcą o zachowanie bytu narodowego — stworzyła szkołę charakterów mocnych, nieugiętych, wyłoniła nadto wyjątkowe talenty

głoszący hasło pełnej demokratyzacji, rozszerzenia prawa wyborczego, parcelacji gruntów i t.d. Polska Partia Socjalistyczna we Lwowie znajduje podatny grunt do propagandy zasad sprawiedliwości społecznej. Dmowski, przebijając na początku tego stulecia we Lwowie organizując wielki ruch wszechpolski, około którego skupia się polska inteligencja umysłowa. Piłsudski wreszcie — kładzie we Lwowie podwaliny pod czynną ideologię niepodległościową, tworzy Związki Strzeleckie, które pod jego przewodnictwem ćwiczą na blichach i w lasach podlowskich. Przy tym ruchu niepodległościowym skupia się zapalna młodzież szkół średnich i uczelni wyższych, wierząc ogromny, przełomowy wpływ na wyobraźnię i przekonania całego społeczeństwa.

## W POLSCE NIEPODLEGŁEJ

A gdy 25 lat temu nadszedł ów dzień, który wieścił poeta Wawelu, że „będzie to wczasy rano, gdy liście zaczną drzeć,” Lwów był jednym miastem, który rzekę krwi wytoczył z siebie, aby znaleźć się z powrotem w granicach nowej Rzeczypospolitej. Sam. Opuszczony i tragicznie samotny. 12-letni harcerz, kawaler cnoty wojskowej, struchlałe od trwogi dziecko, strzelał samotnie o północy wśród mogił cmentarza lyczakowskiego. Tam kula przeszła chłopcu piersi. Dziecinna krew wchłonęły w siebie groby. *Mortui sunt, ut liberi vivamus* — umarli, abyśmy mogli żyć, jako ludzie wolni. Szalone od uniesienia kobiety, zgryźbiali starcy, robotnik, student, urzędnik, ksiądz, endek i socjalista i on, najświetniejszy, niezawodny nigdy — lwowski baciarz. Legli oni tam pospół do snu nieprzespianego na świętym wzgórzu lyczakowskim, najcnotliwyszemu w Polsce cmentarzysku. Z ich kości powstał symbol, strażnik ducha wol-

ności odrodzonej Ojczyzny — Żołnierz Nieznanymy.

Wszyscy mamy w żywej i jeszcze pamięci obraz najwspanialszego Polce miasta w okresie 20-letniej niepodległości. Wśród najcięższych warunków gospodarczych, pozbawiony swej stoliczności — Lwów miasto wojewódzkie, ale nadal centrum duchowe całej Ziemi Czerwieńskiej — powstawał jak Łazarz przysłowiowy z ruin wojennych, wyniszczony i wynędzniały, zawsze jednak pełen fantazji, temperamentu i serdecznego, całej Polce znanego, uśmiechu. Był szczęśliwy w swojej biedzie, bowiem był wolny w wolnej Ojczyźnie. Leczył swoje bliźny wojenne.

Odbudowywał swoje stare tradycje gospodarcze w popularnych Targach Wschodnich, wskrzeszał z powrotem dawne świetne życie umysłowe w wyższych uczelniach, czynił wszystko, aby dobrze służyć Rzeczypospolitej: dawał Jej wzory swoich urzędów społecznych, aparatu administracyjnego, instytucji kulturalnych i gospodarczych, wypróbowanych w samodzielnym życiu pod zaborem. Wyjął się z najcięższych swoich mózgów, odstepując szczęśliwszym od siebie miastom najlepszym fachowców, polityków, ekonomistów, uczonych — dla budowy polskiej rzeczy, dobra wspólnego.

## NOWA PRÓBA

W dniu nowej próby dziejowej — Lwów obok niezłomnej Warszawy był jedynym wielkim w państwie miastem, które starym przodków obyczajem budowało w swych murach barykady. Kopało rowy strzeleckie i całą ludność znowu rzuciło na szaniec walki z maszyną wojny totalnej. A jeśli Lwów o kilka dni wcześniej od stolicy Państwa z wolnością się rozstał, to sprawił to atak z drugiej strony, od wschodnich lasów winniczych i krzywych, los zaoszczędzony nawet Warszawie.

Dzisiaj, po pięciu latach straszliwych doświadczeń dwu okupacji — nad Lwodem i Ziemią Czerwieńską nowa zawisa groza. Mówimy o niej codziennie, myślimy o niej bez przerwy, czujemy ją wszyscy. A w tej postawie naszej myśli i naszego serca jest jedność istotna, bo w instynkcie samego życia założona.

Polska nie odda tej ziemi. Bez niej nie ma, nie może być i nie będzie nie tylko Polski — silnej i niepodległej, ale nie ma, nie może być i nie będzie Państwa polskiego w ogóle. Bez Ziemi Czerwieńskiej, bez wschodniej połowy obszaru Rzeczypospolitej, szerokość równoleżnikowa Polski spadłaby z obecnych 800 do 250 względnie 300 km. Ten wąski pas terenu uniemożliwiłby jakkolwiek skuteczną, sensowną obronę, ponieważ współczesna broń zmotoryzowana wyłącza planowanie manewru odpornego w większym i poważnym stylu na takim skrawku ziemi. Nie mógłby on być również oparciem dla rozbudowanej sieci lotniczej odpowiednio zabezpieczonej.

W razie utraty Ziemi Czerwieńskiej, straciłaby Polska nadto granicę Karpat, łączność z Rumunią i Węgrami i pozbawiona została by źródeł energii wodnej, drzewnej, torfowej, naftowej, głównej podstawy rolniczej i surowców włókienniczych. Wycięcie z terytorium Polski wododziału dnjestrowego odebrałoby jej charakter pomostowy na międzyrzeczje bałtycko-czarnomorskim i oddałoby kontrolę komunikacji tego terenu w obce ręce.

W ten sposób zaś zniszczona została by nie tylko osobowość Polski, ale również Europy środkowo-wschodniej jako jednostki geopolitycznej i całości geograficzno-gospodarczej i geograficzno-wojskowej. Przejście Ziemi Czerwieńskiej w obce ręce — to pogrzebanie federacji Europy środkowo-wschodniej, jako podstawy i gwarancji przyszłego pokoju w całej Europie.

Ale od tych niezwalczonych praw przyrody — nie mniejszą siłą przekonywającą posiada prawda naszej miłości do tej ziemi, do tego miasta.

Ta miłość jest żarliwa i święta. Ale ta miłość jest także rozumna i rzeczowa. Ona kazała wspomnianemu poecie kornie pozdrawiać Lwów, bowiem nie tylko Polski, ale i „świata losy w nim się ważą.” W tym przeświadczeniu dochodziło do wyrazu trafne i prorocze rozeznanie, że od tego, czym jest Lwów — zależy, czy Europa będzie światem zachodniej cywilizacji, czy też tylko małym półwyspem niezmiernie Azji.

JÓZEF RUDNICKI

# Nad wielką wodą

B.D.I.C



foto Krydner

Mgła morską zachodziła co wieczór gęsta i lepka, a ranki nurzały lotnisko w strumieniach deszczu i żółtego błota, choć wiosna stała w pełni. Pobliskie wzgórza grały zielonością i rozsypanym na zboczach kwieciami — my odpowiadaliśmy w dolince niezmiennie wodą. Dziwne, jak przyroda nieraz potrafi być złośliwa. Znaliliśmy wtedy tylko trzy rodzaje pogód: mgła, deszcz i ulewa — innej nie było. I w strumieniach deszczu bębniących o blaszany dach baraków wyłaziliśmy co ranka z nawilgłych po zimnej nocy łóżek,

Mgła nadchodzi. — I poklepał mnie po ramieniu tak serdecznie i bratersko jak tylko on to umiał. — Przyjdzie czas przekonasz się, nadejdzie pogoda.

I przyszyły dni, nabrzmiały i rozedrgane gorącem. Gdy z nieba lał się ołów, a nam pot wsiąkał w "Mac-Westki." Gdy mewy spłoszone hukami silników uciekły z lotniska.

Wtedy zaczęła się wojna. W jeden z tych pięknych, wyłożonych dni, gdy cumulusy chodziły pojedynczo jak strzępy waty rzucone na wiatr, a horyzont stapał się z wodą, przyszedł krótki, suchy meldunek, że niemiecki

Gdy Hitler przez usta Goeringa i Raedera zapowiedział, że wojnę wygra Luftwaffe i potężna flota U-Bootów, walkę podjęły nieliczne podówczas eskadry myśliwskie R.A.F. i Wielka Niemowa — Royal Navy. Zaczęła się bitwa o życie Wysp Brytyjskich, o być lub nie być! Bitwa, która miała zdecydować o losach całej tej wojny.

Niemiecka ofensywa lotnicza załamała się prędko, ofensywa podwodna rozwijała się groźnie i wspaniale. Historia to kiedyś powie, ile setek tysięcy żyć ludzkich ta ciemna, ponura broń działająca z zasadzki i z ukrycia, posłała na dno oceanów. W ciemnych, posepnych salach Admiralicji w Londynie, toczyła się wówczas narada, której wyniki dały znać o sobie dopiero w rok później i które przejść miały najśmielsze oczekiwania.

Samotna Navy walcząc na wszystkich frontach z najwyższym poświęceniem i ponad swe siły, nie mogła sprostać zadaniu i rozdzielona płaciła na Atlantyku najwyższą stawkę. Nowe środki walki rozwijały się szybko, lecz nie tak szybko, jak tego wymagało życie. Przeciężone laboratoria pracowały dniem i nocą starając się znaleźć wyjście z impasu, ratować flotę, ratować statki. A zatapiany tonaż rósł w postępie geometrycznym.

Wtedy to padło słowo: LOTNICTWO! Jedynie i wyłącznie Lotnictwo. Rozbudowane, wielkie, potężne. Przystosowane do wymagań chwili i rodzaju pracy, specjalnie trenowane. Mogące obejmować siecią swą dziesiątki tysięcy mil i jeśli nie zniszczyć okręty podwodne, to wykryć je, umiejscowić i podać flocie "do wykonczenia."

Wówczas weszła na widownię druga Wielka Niemowa — Coastal Command. Pracując w cieniu starszych, uznanych i bardziej "rasowych" rodzajów lotnictwa, z charakteru wykonywanych zadań przesadnie skromna i stroniąca od reklamy, przez swoich i cudzych niesłusznie niedoceniana i lekceważona, dała koncert ogromu pracy i poświęcenia, który zadziwił świat. W ciągu kilkudziesięciu miesięcy położyła niemiecką ofensywę podwodną. Początkowo na przestarzałym sprzęcie, w najgorszych warunkach atmosferycznych, wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi na krańcach zasięgu maszyn, patrolowała, walczyła, atakowała wszędzie, gdzie tylko niemiecka siła podwodna znajdowała się w promieniu jej działania. Reszty dokonała Navy.

Przybyły do Anglii pierwsze nieatakowane konwoje, wyszedł rozkaz powrotu wszystkich niemieckich okrętów podwodnych do baz. Przed sukcesorem Raedera, admirałem Doenitzem stanęło widmo kłeski, kłeski broni, która po lotnictwie była największą nadzieją Rzeszy. I tu myśl niemiecka poszła śladami myśli brytyjskiej: na lotnictwo postanowiono odpowiedzieć lotnictwem.

W tym czasie, po upadku Tunisu duże siły Luftwaffe zajęte dotychczas w basenie Morza Śródziemnego zostały nagle zwolnione przez utratę swych baz i zmianę planu operacyjnego. Wywiązała się możliwość użycia tych sił w Bitwie o Atlantyk. Ostatnia szansa Niemiec.

Zrobiono wszystko co można. Długi pas lotnisk zachodniego wybrzeża Francji zapelniał się maszynami. Stare, najbardziej doświadczone załogi, najlepszy, najnowocześniejszy sprzęt. Zatoką Biskajską zmieniła się na Dzikie Pola Atlantyku. Tam gdzie dawniej chodziły na żer w smukłe albatrosy lub przemykała samotna mewa, teraz w poszukiwaniu żeru krążyły nowe, drańskie ptaki. Szły w jęku silników i łomocie śmigieł formacje maszyn niemieckich.

Na potężnym, ogromnym pasie 11.000 mil kwadratowych zaczęło być ciasno. Uciekał ptak, uciekał i zwierz morski płoszony wybuchem bomb głębinowych i ogniem broni maszynowej. Uciekał pojedynczy, biały "Wellington" w zwiwene, kłębiste strzępy cumulusów pod morderczym ogniem przeciwników, górujących przewagą i liczbą. Zaczęły się łowy nieznane na tych wodach.

Na zanurzone lub idące na po-

wierzchni okręty polowały kormwety i samotne "Wellingtony" w dalekim towarzystwie innych, mocniejszych kolegów — czterosilnikowców. Na nie czaiły się uzbrojone po zęby "Ju 88" lub smukłe "Me 110," w osłonie chmur lub nad samą wodą, zwinne i niewidoczne. Zabójcze! Na te z kolei, czekały gdzieś na tysiącach stóp, szybkie jak myśl "Mosquito" i ociężałe od działek "Beaufighter'y."

Zaczęła się walka, nie brano jeńca. Trup padał gęsto. Wy-

chleb powszedni. Lecz te, które spotkały większą ilość, nie wracały.

Zaczęły ginąć maszyny bez wieści. I Władzio, co to w bridge'a ogrywał gości. I "Dziobanek," co twarz miał jakby mu diabeł ogonem pysk młócił i tyłu, tyłu innych kolegów i towarzyszy serdecznych. Nastaly takie czasy, że najstarsze wygi Dywizjonu, najstarsze niedotopki podobnych nie pamiętały. Zaczęło się ciasno robić na Biskajach. Dywizjon ściął i zamarł,



Nad brzegiem "wielkiej wody"



"Biała trumna" gotowa do lotu



Podwożenie bomb



Przygotowania do startu

by wciągnąć mokrą białynę i przykryć czym kto miał nieprzemakalnym, bieć pół mili do kasyna na mycie i golenie.

"Wellingtony" rozkładały się w rdzy, a my w rozpacz.

Wiktor jednak się nie przejmował, pamiętał bowiem lepsze czasy i nowe lotnisko traktował z pogardliwą wyższością. W jeden z tych dni, gdy pogoda była wyjątkowo dobra i tylko zwykle, stratusowe chmury chodziły po lotnisku, za każdym otwarciem drzwi wdzierając się do baraków, Wiktor jak zawsze wesół powiedział:

— "Spójrz na lotnisko, widzisz te nasze białe "trumny"? Za pół godziny już ich nie zobaczysz.

myśliwiec zestrzelił nam "Wellingtona." Wiedzieliśmy... wszyscy, lecz wciąż czekaliśmy na powrót tej załogi i późno w noc mrugały nikłym blaskiem czerwone oczy okiennic baru.

Na próżno.

A potem wszystko stało się jakoś tak szybko, że trudno wprost wyłowić z pamięci i uporządkować chronologicznie tę masę faktów nieraz drobnych, nieraz ważkich, które nad Wielką Wodę przyniosły zew wojny, jakiej te morza jeszcze w swych dziejach nie oglądały, które wśród Wielkich Wtajemniczonych przyniosły im nazwę pierwszego pola bitwy świata. Bitwy o Atlantyk.

brukowały Biskaje płatami białego cellonu "Wellingtony." Zmarszczyły morze rykoszetami kul i trzaskiem łamanych o wodę śmigieł. Zmąciły powietrze wirami ciannych uników, stożkami czarnych dymów z płonących maszyn.

Czasem zauważono w przełocie maleńką, żółtą dinghie — niemy krzyk rozpacz. Na wieleśet mil od bazy. Zauważono przypadkiem. Zwykle? ...

Niemcy wychodzili taką siłą, że "Wellington" nie mógł przyjąć i tak już nierównej walki — ginął, nim zdążył nadać depeşe o walce. Spotkania z pojedynczymi myśliwcami stały się czymś tak nieważnym, że nie opłacało się o nich nawet i wspominać. Ot głupstwo,

wszyscy gorączkowo myśleli jak wybrnąć z sytuacji i jakie znaleźć wyjście. Zaczęliśmy latać taktycznie, kluczyc, jak lisy przemysłnie i chytrze. Lecz w ostatnie dni sierpnia los ciężki i zły, zabrał nam jedną z najbardziej lubianych załóg Dywizjonu: "Lodzie" i "Chrabaszcza," w przepiękną słoneczną pogodę /w bazie naturalnie padał wtedy deszcz!/. Nadali nam tylko dwie litery meldunku, że są atakowani. DWIE LITERY ... pomyślcie!! Trzecia przeszła w krótką kreskę — jęk ...

Dyżurna telefonistka w "Operation" miała tej nocy zapuchnięte od płaczu oczy. Piliśmy do białego rana.

JERZY GŁĘBOCKI

Przy motorze



Taranto, luty, 1944

### POD BEZPOŚREDNIM WRAŻENIEM

Skrót A.P.W. — Armia Polska na Wschodzie. Można by właściwie napisać Armia Polska na Śródziemnomorzu, albowiem obecnie większa jej część znajduje się we Włoszech, a reszta w krajach leżących bezpośrednio nad Morzem Śródziemnym, jak Egipt, Palestyna, Syria. To już nie nowina i nie tajemnica wojskowa, że Armia Polska weźmie udział w akcji bojowej na froncie włoskim. Widocznie trzeba, aby się dopełniły słowa naszego hymnu narodowego: "Z ziemi włoskiej do polskiej." Dzięki tym zrzadzeniom łaskawszych niż dotychczas losów, żołnierz polski będzie z bronią w rękę torował sobie drogę do Ojczyzny z tego kraju, w którym nasi przodkowie pisali bagnetem i szabłą historię wojenną w nadziei, że na końcu swego marszu znajdą się w Polsce. Historia powtarza się niejednokrotnie aż do znużenia.

Ale nie o historię nam w tej chwili chodzi, lecz o zdarzenia współczesne, więcej nas interesujące. My, tu w Anglii dużo słyszymy o Armii Polskiej na Wschodzie. Dużo, to jeszcze nie znaczy, że wszystko i właściwie. Odwrótnie, ta mnogość wiadomości zaciemnia nam obraz. Jeżeli go w ogóle nie wypacza. Dlatego może nieźle będzie, jeżeli pod bezpośrednim wrażeniem pobytu w tej Armii postaram się dać jej obraz w ramach krótkiego reportażu. Bezpośredniość wrażeń będzie tym silniejsza, że wczoraj się z tą Armią rozstałem, a dziś piszę te słowa na okręcie w Taranto, odpływającym do Anglii.

Taranto, chluba "Regia Marina," morska baza wypadowa na Afrykę, centrum Morza Śródziemnego, nad którym niepodzielnie chciał panować tragicomiczny dyktator włoski — leży spokojna i cicha pod opieką zdobywców anglo-saskich. Obywatele niedoszłego Imperium włoskiego, jak dawniej, jak zawsze, kręcą się na małych łódeczkach w około transatlantyckiego olbrzyma angielskiego, ofiarując na sprzedaż pomarańcze, owoce i młode czerwone wino kalabryjskie. Ich rola ogranicza się do pomocy w wyładowaniu wojsk i sprzętu.

Biedny naród, godny współczucia. Sny imperialne... i odbartusy zachwalające swój skromny towar żołnierzom alianckim. Przecież z tarasu tego imponującego budynku admiralacji Mussolini spoglądał dumnie na swą flotę wojenną. Stamtąd grzmiał przez megafony o włoskiej potędze, o nowym porządku świata, w którym zabył się imperium rzymskie. A dziś? Właśnie jakiś mały, smukły, krążownik włoski wchodzi do portu w konwoju alianckich statków towarowych, wypełnionych po brzeży sprzętem wojennym. Statki portowe pod flagą włoską przewożą żołnierzy alianckich na brzeg i zaopatrują nasz okręt w paliwo i wodę.

Ale wróćmy do tematu. Reportaż mój powinien mieć pewne znamiona bezstronności, albowiem na taśmie moich wrażeń nie ma barwików mogących tonować lub uwydatniać pewne wrażenia. Nie należę do Wojska, nie byłem w Rosji. Jestem lotnikiem. Pół roku temu wyjechałem z Anglii na Środkowy Wschód, aby współpracować z Armią Polską na Wschodzie. Ot coś w rodzaju Oficera Łącznikowego Lotnictwa przy Sztabie Armii.

#### DROGA NA WSCHÓD

Opuszczając Anglię w sierpniu ub. roku, miałem dość mętne pojęcie o Armii Polskiej na Wschodzie. Ja i moi koledzy byliśmy w położeniu braci, którzy się mają spotkać po długim rozstaniu. A ponieważ koleje naszego życia były różne, przeżycia i zdarzenia odmiennie, baliśmy się, czy odnajdziemy nasz dawny wspólny język, czy będziemy myśleli tymi samymi kategoriami, czy nasze troski i radości będą te same. Znaliśmy ich sprzed kilku lat, ale w międzyczasie przeszli tyle nieszczęśliwych osobistych i ogólnych, że nie było by nic dziwnego, gdybyśmy ich zastali odmiennych.

Na statku, jak na statku. Panują tu niepodobnie te same, niezmiennie przepisy. Miejsce z góry wyznaczone w kabinie, przy stole i na pokładzie oraz w łodzi ratunkowej. Godziny jedzenia, spania, przeglądów i t.d. normują życie codzienne.

Ładujemy się na okazały statek pasażerski "Empress of

Australia." Liczy on sobie około 23.000 ton i zdaje się trochę więcej lat. Jest luksusowo urządzone w staromodnym, że tak powiem, wiktoriańskim stylu. Szczyci się tym, iż przewoził kiedyś parę królewską z wizytą do Australii.

Ma jeszcze jeden powód do dumy. W hall'u na poczesnym miejscu widnieje w mosiądzu napis, iż roku pańskiego tego i tego, na Oceanie Spokojnym wyratował wiele setek złotych pasażerów z wielkiego statku japońskiego, który uległ katastrofie. Sam Mikado przesłał podziękowanie za odzyskanie dla kapitana statku. Dziwne paradoksy dzieją się na świecie. Gdyby ten sam kapitan zatonął obecnie te samą ilość Japończyków, jaką kiedyś wyratował, to prawdopodobnie też dostałby odznaczenie i byłby zaszczytnie wyróżniony w komunikacie wojennym.

Statek jest pasażerski, ale zmuszony warunkami wojennymi, został uzbrojony bardzo silnie przeciw atakom z powietrza i wody. Jego górny pokład najeżony jest masą luf różnego kalibru i bardzo pomysłowymi urządzeniami dla zwalczania samolotów nieprzyjacielskich.

Wyszliśmy z portu w dzień sierpniowy, który nie bardzo się różnił od marcowego czy październikowego. Włączono nas do pięknego konwoju olbrzymich statków

pasażerskich, strzeżonych przez całą sferę kontrtorpedowców, krążowników i lotniskowca. Ochrona solidna przeciw atakowi z wody i z powietrza. Morze spokojne jak jezioro, pogoda z każdą milą na południe piękniejsza. Mało — tak piękna, że aż nieprzyjemna, szczególnie wieczór, gdy szczerline pozamykane okna i drzwi kabin, jadalni i czytelnicy powodowały siódme poty.

Chłopcy nie przystosowani do równikowych temperatur kładli się pokotem. Nie było to zbyt groźne, raczej przykre. Bywały światłociemności, w rodzaju tych, co to w doświadczeniach czasach, za uciążliwych lub pożyczonych pieniędzy, odbywali na nieodżałowanym "Pulaskim" podróż po słońce południa — udzielali zbawiennych rad. Tego nie jedź, a to pij. U bierz to, a tamto ściągnij ze siebie. Rady te zazwyczaj okazywały się dobrymi radami "Pani Zofii" z Czerwonika.

Niespostrzeżenie, bo nad ranem, mineliśmy Gibraltar. Weszliśmy na Morze Śródziemne, do niedawna jeszcze groźne dla śmiazków, którzy ważyli się je przekroczyć. Wzdłuż brzegów Afryki Francuskiej sunęliśmy na Wschód, mijając liczne konwoje ciężko ładowanych towarowców, idących w tym samym kierunku. Szły zapewne na Sycylię i do Włoch. Bez trudu, po spokojnej tafli morskiej,

przez nikogo nie napastowani dobiliśmy któregoś ranka do nabrzeża w Port Said.

Stary wyjadacz morski, obsługujący naszą kabinę, jowialny steward, proponował wysłanie depeszy do Hitlera z żądaniem usunięcia Goeringa i Doenitza za wybitny brak aktywności. Przecież oni nawet nie próbowali zaczeplić tak wielkiego konwoju na przeszczerzeni tysięcy mil. Właściwie lepiej, że nie zaczepli, choć to nie bardzo zgodne z ich naturą. Albo nie mieli czym, albo duch zaczepny mocno zmalał, pomimo tak świetnych zwycięstw morskich admirała radiowego — Goebbelsa.

#### W EGIPCIE

Państwo Faraonów przyjęło nas potwornym żarem słonecznym. Piasek i słońce, powietrze nagrzane i nieruchome. Znikąd ani śladu powiewu. Nauczylimy się pocić już na statku, ale tam przynajmniej na pokładzie był jakiś taki przewiew. A tu nic, kompletnie nic. Kraja baśni, dla wielu znana tylko z literatury, otwierała swe gościnne wrota spiekota południa i wrzawą małych brudasów z wyciągniętymi dioniami i natarczywym "baksziszem."

W dalszych notatkach nie będę nikogo trudził opisywaniem piramid, lub co się działo dwa tysiące lat temu na górze Tabor. Ten łatwy temat, odbijany sumiennie

## Na jenieckim szlaku W głąb Niemiec

II.\*

Pociąg ruszył. Stało się. Mam uczucie doświadczenia się w paszczę wilka. Wyzbył się ostatnich szans wyratowania, zepchnięty z brzegu nad przepaścią, aby w nią runąć. Wytrąca mnie tylko z tych ciemnych myśli nieoprawny optymizm Francuzów. Biorą te podróże pod kątem możliwie wesołym. Czują, że niejedną dowcip i niejedną uwaga w tej chwili jest czymś wymuszonym, prawie sztucznym, że mimo wszelkich pozorów to oderwanie od Francji i grozący przejazd na tamtą stronę Renu stanowi nie byle jaki wstrząs dla tych natur niby hartowanych, niby niewrażliwych i twardych. Udają tylko, że to nie nie znaczy. Oszukują się dowcipami. Trzymają fason.

Renu nie widziałem. Stojąc przy szparkach krat towarzysze opowiadali, że migają przelaz, zmieniony huk kół, dudniący pusto pod nami był jak telegraf mówiący o przejechaniu mostu.

Niemcy. Dostałem się do przezioru, zajmując ten punkt obserwacji, ustąpiwszy innym miejsca w kacie; miejsce było cenne, bo z oparciem. Wyglądam na świat. Tak samo jak wyglądają czasem przez tę szczelinę konie, albo krowy, gdy jada tymże przedziałem, żałośnie porykujące. Mijamy jakieś wzorowe ulice, szosy lśniące asfaltem, ogrody bujne i pola pięknie uprawne.

Śladu wojny nie ma w krajobrazie. Jest pokój, dostatek, pełnia. Ulicami wzdłuż toru gdy dojeżdżamy teraz do jakiegoś większego miasta snują się gromady dzieci. Młodzież w mundurkach zgrabnych, podciągnięta wojskowo, maszerująca w wartach oddziałach. Już poprzednie obserwatorzy obrazów rozwijających się wzdłuż pociągu wykrzykiwali na cały wagon swoje zdziwienie: ile tu dzieci! Po prostu zatrzesienie. Taka była dla nich pierwsza uderzająca obserwacja niemieckiej inności, jeżeli porównać z Francją. I z niej od razu wyciągano wnioski, jeśli nie zaraz naukę.

—Widzisz — mówili do siebie ojcowie bezzietnych rodzin — jaka tu u nich potęga. Jakie niebezpieczeństwo nie dzisiaj, bo dziś już i tak wszystko jedno, ale na przyszłość... Co będziemy mogli temu przeciwstawić?

—Chyba jeszcze jedną linię Maginot! — żartowali przekorni. Ale tym razem powinna być na kółkach, bo do wkopanej w ziemię nie mam zaufania. Żeby ją można było odwrócić w razie czego i ustawić raz wreszcie frontem do ofen-

sywy. Bo tak jak było, to na nic. Niemcy wchodzili do nas zawsze tam, gdzie ich nie czekano. Tacy chytrzy...

Przypominam sobie niespodzianię, że mi cenzura francuska skreśliła w artykule o linii Maginot między wielu innymi rzeczami także i to zdanie, w którym fortece tej linii porównywałem do zakopanych w ziemię pancerników. Pancerniki wiadomo świetna rzecz — póki na wodzie. Na lądzie natomiast i w tej wojnie, której charakter ruchomy od września w Polsce nie mógł być już dla nikogo niespodzianką, przedstawiały zagadnienie niepokojące wszystkich tak bezwładem, jak nieruchliwością.

Ale byliśmy już dalecy od tych czasów i od tych rozważań. Pociąg stał na większej stacji wewnątrz Niemiec. Rozsunięto ze zgrzytem ciężkie drzwi — z poza pleców eskortujących żołnierzy mogliśmy się przyjrzyć ruchowi na peronach i wnętrzu dworca w ogóle. Było tam pustawo i szaro w to letnie popołudnie. Stały tylko tu i ówdzie drobne grupki cywilów o wesołych twarzach i przyglądały się nam z większym na pewno zaciekawieniem niż to, jakie żywiłiśmy dla nich. Przyjazd tego pociągu na stację wywołał nawet swego rodzaju poruszenie, kiwali na siebie z daleka, schodzili się i dzielili tą wiadomością, nie spuszczać z nas oczu.

Nie po raz pierwszy mieliśmy uczucie znajdowania się za kratami menażerii. Młodych Niemców zwłaszcza zdawało się bawić niezmiernie widowisko, jakie samą swoją obecnością przeniesiśmy nagle na tory dworca. Mieli miny dumne i szczęśliwe. Znalazły się dziewczyny, które poczęły machać ręką w stronę pociągu. Optymiści między kolegami, ci którzy nie znali Niemców, brali te gesty ludzkie i ujmujące za dobrą monetę. Myśleli, że to naprawdę dla nich ten znak zachęty. Machali w odpowiedzi rękami. Byli tacy, którzy rzucali głośno jakieś pozdrowienia na drugą stronę peronu, jakieś gesty pocałunków nawet. Oburzono wrażliwość żołnierzy stłumiły ten porwy naiwnych. I wtedy przekornaliśmy się wszyscy, że nie dla nas objawy sympatii, że odtąd nie ma nikt z nas prawa spodziewać się tutaj jakiegokolwiek oduruchu ludzkiego zbliżenia, czy choćby współczucia. Żołnierze eskorty natomiast dostawali od tych cywilów paczki z buterszyniami i torebki pełne owoców, które zajadali od razu, mlaskając z apetytem na naszych wygłodniałych oczach.

Nastąpiło coś w rodzaju odwrotu ze strony jeńców. Cofnęli się nie w głąb wagonu, ale w głąb siebie samych. Przez zaciśnięte

zęby padło kilka cierpkich, dosadnych, zbuntowanych uwag. Te dziewczęta świeże i porządnie ubrane, ci dobrodusznisi na oko cywile, których nikt dotąd nie uważał za wroga, stali się nagle obcy, odrażający, jak nieprzyjaciel po zrzuconiu maski. Przejrzano podstęp. Prysło jedno jeszcze złudzenie. Byliśmy od tej chwili bardziej jeszcze sami, skupieni w swoim gronie, skazani na ten sam los. Na nikogo już nie wolno liczyć po ludzku. Pośród nas samych kryją się jeszcze jakieś możliwości pociechy, oparcia, zrozumienia.

Było tej zajdy jeszcze wiele godzin. Z przystankami, z przetwarzaniem wagonów z toru na tor. Wartownicy, którym samym ciasno się zrobiło w wagonie, pozwolili odsunąć drzwi. Karabin mieli przelożony niby niedbale przez rękę, jak strzelbę do polowania i coraz to grozilili nam: Niech nikt nie próbuje skakać z pociągu, bo zastrzelimy jak psa.

Ale mimo uśmiechu żartobliwego, którym okraszali każdą taką uwagę, nikt nie miał wątpliwości, że strzelaliby bez pardonu.

Nie skoczył żaden. Tu już nie było warto, tu już ze wszystkich stron Niemcy, ludność i ziemia sprzymierzona przeciwko nam. Trzeba było spróbować wcześniej, dawniej, na początku. Tu każdy gest buntu czy rozpacz już jest pozbawiony sensu. Jechaliśmy tak wiezieni w niewiadome, coraz bardziej zreygnowani w miarę jak rosło zmęczenie, coraz mniej ciekawości krajobrazu i scen przydrożnych, coraz bardziej zamknięci w sobie, odkąd wydłuża się i rośnie ta smutna, beznadziejna podróż w głąb kraju nieprzyjaciela.

Wieczór. Towarowa stacja w niejaki odległości od większego dworca. Szopy i składy, brzydota użytkowych zabudowań, odstawione puste pociągi, składnice towarów, beczek i skrzyń zwalonych na kupę przy torach. Tu jest port, do którego dobijamy. Z tego miejsca zaczyna się nowa przygoda, nowy rozdział w życiu naszym, zapędzonym bez odwołania do Niemiec. Rozkazy brzmią twardo, sucho. Wojsko przyszło na nasze spotkanie, przyszło nas po swoje. "Odebrać." Ustawiają nas w czwórki, długi wąż czwórek równoległe do toru. Ruszamy ciężkim krokiem nóg zcierpiętych i obolałych mięśni, zmęczeni nie tylko od tej drogi, zmęczeni już naprzód każdą myślą o tym co nas czeka, bo wiedzący podświadomie, że to co mogło stać się najgorszego, właśnie teraz dokonują się i zamyka za nami, nad nami, wszędzie dokoła, w Niemczech.

ALEKSANDER JANTA

ADAM WOJTYGA

Tak się dziwnie jakoś złożyło — gdy piszę te słowa jest wtorek 22 lutego późny wieczór — że przed kilkoma godzinami obserne streszczenia praszy szkockiej zapoznały nas z mową Churchilla, wygłoszoną przed południem... i że przed chwilą wróciłem z przedstawienia dla dzieci, na które dawno się wybierałem: „Peter Pan.” Słynny „Peter Pan” to tradycyjna pantomina angielska, która na przekór kontynentalnemu pojęciu pantominy, operuje obficie słowem, piosenką i muzyką. Stara to rzecz! Napisał ją w r. 1904 Sir J. M. Barrie, przeznacząc ją dla chódu autorstwa raz na zawsze — na fundusz pomocy chorym dzieciom. Teatr edynburski wypełniony był dzieciarnią po brzegi. Widownia była rozgorączkowana, cała pod urokiem, w zachwycie. Aż mi przykro było, że nie mogę wraz z nią dać się oczarować tej starej pantominie angielskiej i pójść w krainę baśni. Słowa Churchilla z mowy przedpołudniowej wirowały mi w głowie i kamieniem kładły się na sercu.

W pewnym momencie jednak bajka, rozgrywająca się na scenie, przykuła moją uwagę. Był to bardzo dydaktyczny moment, w którym dzieci angielskie pouczył nieokrzesanego Peter Pana /coś w rodzaju naszego Tomcia Palucha/ o tym, jak wielką wartość posiada słowo angielskiego gentlemana. Aktorzy zwracali się do widowni dziecinnej i rzucali pytania: — „Czy dotrzymujecie słowa?” Czulem się trochę zażenowany i samotny, jak paluch między tymi dzieciakami.

Akt II przeniósł nas do krainy nazwanej w programach: „The Never, Never, Never Land,” gdzie z Peter Panem walczył toczył Captain Hook, bezręki wódz piratów... Scena porównania i wywołania dzieci przez piratów, uczyniła na widowni straszliwe wrażenie. Dzieciom oczy błyszczały, niektórzy protestowali głośnie, inne mocniej tuliły się do matek. Przekonatem się, że bajka robi na Anglosach czasem większe wrażenie, niż prawda. Biedne szkockie matki na gwałt szepotały swoim pociechom do ucha: „It isn't true, to tylko na scenie. Piraci w rzeczywistości nie istnieją. Nie ma ich teraz.”

Trochę ulgi wprowadził w tę bardzo napiętą atmosferę wspomniały krokodyl, który niespodziewanie wylazł na scenę. Krokodyl dostał obrzydliwie brawę. Grał doskonale. Niewdzięczna to rola: wymieniony bowiem w programie aktor, zakamuflowany zieloną teksturą, leżąc cały czas na brzuchu, posuwał się na kółkach jedynie w określonym kierunku. Szpetna rola: niewidoczny, w obcej skórze, jednokierunkowy. Sprytnie oko „teatralne” mogło dostrzec nawet delikatną linię, nakreślona dla krokodyla na scenie białą kredą. Tę kreskę nazwałem od nazwiska

reżysera: „Linią Rickinsona.” Ale czy to z krokodylem poradzi się? Łaził po całej scenie, nie sobie z linią nie robiąc ku uciesze działy.

Akt III nosił tytuł: „Our home under the ground.” Dom pod ziemią! Zazdrościłem tej leśnej kompanii Peter Pana i miałem ochotę wleźć na scenę do tego domku pod ziemią. Mądry był Peter Pan. Pomysłał: gdy o skrawek ziemi na świecie tak trudno, może istotnie pod ziemią szukać należy domu. Ale i ten schron okazał się słaby. Podstępnie zjawia się kapitan Hook i wlewa do szklanki Peter Pana truciznę.

Peter Pan ma jednak stałego, niewidzialnego towarzysza. To jego dobry duch, jego cień, jego opiekun, obwieszający zawsze swoją obecność dźwiękiem dzwon-

ków. Dobry duch ostrzega Peter Pana przed wypiciem trucizny, jednak Peter nie wierzy. Dobry duch błyska nad kielichem tajemniczym światłeczkiem. Wypił za Peter Pana truciznę. Dzwonki coraz cichsze. Peter Pan mówi do widowni: — „My shadow is dead...” Wtedy cichutko odrywając się znowu dzwonnki. Peter Pan tłumaczy dzieciom, że jego dobry duch może żyć dalej, ale potrzebna mu jest wiara dzieci, wiara dzieci w bajki?

— „Czy wierzyć w bajki?” — woła tragicznym głosem Peter Pan biegnąc w stronę widowni. — „Czy wierzyć w bajki?” — „Yes!” — Przeraziliśmy się. Pokazało się, że to jedno „yes” było — moje. Ponure, głośnie, nieopanowane. Za mną poszła cała dzieciarnia i głośnie: „yes, yes!” powróciło do życia dobrego ducha.

Dzieci na sąsiednich fotelach koło mnie trochę ze zdziwieniem polskiego, który pierwszy ryknął: „yes”! Ale czy one się znajdują na bajkach?

Ten dobry duch nie wylazł mi jednak z głowy. To dobry wynalazek. Przed wypiciem trucizny — dzwonek ostrzegawczy. A jeżeli w dodatku do utrzymania dobrego ducha przy życiu, potrzebna jest wiara w bajki, to sprawa w chwili obecnej wydaje się bardzo uproszczona.

Przynajmniej się, że już nie bardzo dokładnie dostuchałem trzeciego aktu, gdyż w głowie ukladałem sobie wielką pantomimę dla dorosłych, którą można by choćby jutro wystawić na pierwszej lepszej scenie. W domku pod ziemią, w tajemniczych konarach drzew leśnych, u-

## Z tygodnia na tydzień

20 lutego: Polskie dywizyjny myśliwskie dwukrotnie osłaniały wyprawy bombowe. Wszyscy piloci polscy powrócili.

21 lutego: W nocy z 20/21 lotnictwo brytyjskie dokonało silnego nalotu na Sztuttgart. Zrzucono około 2.000 ton bomb.

Za dnia lotnictwo amerykańskie z baz w W. Brytanii bombardowało silnie przemysł lotniczy w Brunzwicku oraz obiekty przemysłowe w północno-zachodnich Niemczech. W działaniach tych wzięło udział około 2.000 samolotów.

Polskie dywizyjny myśliwskie osłaniały wyprawę bombową. Wszyscy piloci polscy powrócili.

Prezydent R.P. Wł. Raczkiewicz wydał apel do żołnierzy polskich walczących we Włoszech. W apelu tym czytamy: „Szlakiem naszych mężnych dziadów i ojców idziemy z ziemi włoskiej do Polski.” Imieniem Rzeczypospolitej Polskiej żyję Wam, byście doszli zwycięsko do Polski, z imieniem której na ustach stajecie do walki i byście na ostrzu Waszych bagnętów przynieśli wolność skrwawionej Ojczyźnie.

Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski wydał Rozkaz Nr. I do żołnierzy II Korpusu walczącego we Włoszech. W rozkazie tym czytamy: „Pokażcie, jak żołnierz polski potrafi waleczyć i spełniać swój obowiązek, pomimo wszelkiej przeciwności losu, pomimo liczne zawody i gorycze... Bijcie się dobrze! Dumę i honor narodu są w Waszym ręku.”

22 lutego: Lotnictwo amerykańskie dokonało pierwszego wspólnego nalotu na Niemcy jednocześnie z baz w W. Brytanii i z baz we Włoszech. Bombardowano silnie Bernberg, Oschersleben, Halberstadt i Ratyżbonę.

W nocy z 21/22 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką

Biskajską oraz przeprowadzały inne działania bojowe. Wszystkie zalogi polskie powróciły.

Polskie skrzydło myśliwskie osłaniało wyprawę amerykańskich „latających fortec.” W czasie tego działania piloci polscy osłaniali jedną z zalog amerykańskich, która zmuszona była wodować.

W Moskwie ogłoszono o zdobyciu Krzyżem Rogu.

Premier Churchill w Izbie Gmin złożył oświadczenie na temat sytuacji wojennej i międzynarodowej, w którym poruszył m.in. zagadnienia polsko-sowieckie.

23 lutego: W nocy z 22/23 polski dywizjon bombowy z Dowództwa Obrony Wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie zalogi polskie powróciły.

Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski dekorował mjr. pil. A. Gabszewicza Krzyżem Złotym „Virtuti Militari.” Była to pierwsza w dziejach lotnictwa polskiego dekoracja tym odznaczeniem. Z okazji dekoracji Naczelny Wódz wygłosił przemówienie, które cytujemy na innym miejscu.

24 lutego: Lotnictwo amerykańskie dokonało silnego nalotu z baz w W. Brytanii i we Włoszech na Steyr w Austrii oraz Schweinfurt i Gotha w Niemczech.

W nocy z 23/24 polski dywizjon

bombowy z Dowództwa Obrony Wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie zalogi polskie powróciły.

W Moskwie ogłoszono o zajęciu m. Dno, na drodze do Pskowa i m. Rohaczów, na froncie środkowym.

25 lutego: W nocy z 24/25 lotnictwo niemieckie dokonało nalotu na Londyn. Począwszy od nocy z 18/19 była to szósta noc silnych nalotów niemieckich na Londyn.

Polskie dywizyjny myśliwskie wykonały osłony wypraw bombowych. Wszystkie polskie samoloty powróciły.

W nocy z 24/25 lotnictwo brytyjskie dwukrotnie silnie bombardowało Schweinfurt.

W nocy z 24/25 polskie dywizyjny bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską oraz przeprowadzały inne działania bojowe. Wszystkie polskie zalogi powróciły z tych zadań.

Lotnictwo amerykańskie bombardowało silnie za dnia, z baz w W. Brytanii i we Włoszech, Ratyżbonę, Sztuttgart, Augsburg i Furth. Celem tych nalotów był niemiecki przemysł lotniczy.

Niemcy podali o opuszczeniu Wittebska.

Zaburzenia wewnętrzne w Argentynie. Prezydent gen. Ramirez złożył prezydenturę na ręce wiceprezydenta gen. Farrell.

26 lutego: W nocy z 25/26 lotnictwo brytyjskie bombardowało dwa razy Augsburg. Zrzucono około 1.700 ton bomb.

W nocy z 25/26 polskie dywizyjny bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską oraz przeprowadzały inne działania bojowe. Wszystkie polskie zalogi powróciły.

27 lutego: Ogłoszono w Moskwie, że ataki niemieckie na zachód i północno-zachód od Łucka, na pozycje sowieckie nad Styrem, zostały odparte.

Ukazał się tom wierszy Ryszarda Kiersnowskiego

## „Zjazd w Nowogródki”

Cena sh. 2/6

Do nabycia we wszystkich księgarniach polskich

### LIST Z PUSTYNI

Szanowny Panie Redaktorze, Niejednemu z nas, który z ukrywanym żalem żegnając gościnną Brytanię, obiecywał sobie wiele w kraju legend o Szeherazadzie — temu Wschód spłatał brzydkiego psikususa. Tajemniczość Wschodu, jak wszystkich zresztą chyba Wschodów — odgrodziła się murem kulturalnej odrębności, przesadami swych zwyczajów i fanatyzmem religij. Można wszystko obejrzeć, dotknąć i w dalszym ciągu pozostać nawnie niewiadomym czasu i tajemnicy duszy zamkniętej w słowie Wschód. Ciekawy śmiałek za cenę „bakszyszu” potrafi uchylić rąbek czarząsfu z zawołowanej twarzy smukłej Arabki — co kończyć się może nawet przygodą na pewno nieromantycznej natury.

Zajadając więc banany, pomańczę i słodkie daktyle, z gorzkim oburzeniem się myślę, że jest to jedyna rzecz, którą za żywa gotówkę Wschód pozwala konsumować. W długie wieczory, kiedy się jest skazanym na wybór półjścia do jedynej kina, lub grę w pokera na kredy, a ani na jedno ani na drugie się nie ma ochoty, rodzą się fantastyczne listy do znajomych. Pisze się o lwach ryczących wokół płóciennych namiotów, o oblaśnianych szakalach i niewinnych skorpionach śpiących niemal pod jednym kocem i t.d. i t.d.

Dzień jest o niebo lepszy, bo zawsze uczucie pracowitości. Stale też mamy sporo gości z „Karpackiej,” „Zubrowej,” „Syreniej” i innych jednostek Armii. Wszyscy mają wiele szczerego entuzjazmu dla swojego lotnictwa. Mówzą dyskontując ogólną sławę, puchniemy z dnia na dzień w dostojność i tak jak wszystko tutaj mamy już odrębną nazwę „Lordów.” Najniebezpieczniej jednak trafić do któregoś z klubów czy kasyn wojskowych, wówczas nawet lordowska powaga nie uchroni i chcąc nie chcąc musi się człek zalać w pestkę. Nota bene tutaj tak mówić nie

wolno, bo te prawdziwe „Pestki” bardzo się o to gniewają. Z „Pestkami” /oczywiście tymi prawdziwymi/ poznaliśmy się zaraz na początku, gdyż nasze czasowe m.p. sąsiadowało o między z żeńskim gimnazjum ogólnokształcącym i kupieckim. Kiedyśmy pierwszą składali wizytę uczyli się wszystko zacięciem /nie znaczy, że potem się uczyć przestało/. „Każdy lotnik to zalotnik” — więc ciekawość kobieca przemogła, o lekcji na jutro chwilo- wie się zapomniano i tak pierwszy bastion oporu — broniony zresztą przez bardzo wysłużoną wartość — został zdobyty. Na pożegnanie gimnazjum w J. urządziło wspaniałe ognisko za co podziękowanie otrzymało z samolotu.

Zapoczątkowaną przyjaźnią odnowiliśmy w czasie wielkich jesiennych manewrów, kiedy armia nasza po udanych operacjach wyznaczyła nam nowe lotnisko tuż pod bokiem miejscowości J. Zmiana lotniska odbyła się błyskawicznie i chociaż błota było po kolana, wieczorem każdy wypole- rowany na czysto, pędził do miłych sąsiadek.

Tak szczęśliwe manewry nie zdarzają się jednak codziennie. Natomiast barzo często, skoro świt przetrze twarz, z dispersali wysuwają się chyżo na runway maszyny. Wszystko sprawdzone, dopięte, gotowe — więc gaz i już skrzydła pławia się w pastelowym, bezchmurnym pułapie ponad niewzruszonym jeszcze słońcem. Na ziemi dzwonią telefony, krzyżują się rozkazy, trochę hałasu, trochę podniecenia — jak na każdej nieprawdziwej jeszcze wojnie. Ścisają się radiowe sygnały. Niebo zaczyna kwitnąć kolorami rakiet i rubinem wschodzącego słońca. Tu i tam zaróżowi się szrama smuga trwałego dymu, ułożona w przedziwny alfabet, którego wymowę znają tylko artylerzyści.

Zaczyna się piekielna kanonada dział różnego formatu i wspaniałej konstrukcji. Dalej gdzieś klęca się z sobą czołgi zjadliwym trajekotem gasienic. Kawalerii zmotoryzowanej też nie brak, czemu się zdziwić nawet zresztą nie wypada, bo zawsze co kilka tysięcy koni mechanicznych, to nie jedna szkapła, chociażby czystym owsem karmiona.

Ta imitacja wojny jest wcale nieraz ciekawa — a jednak zawsze to tylko imitacja, chociaż doskonale uzgodniona tak w czasie, jak i w przestrzeni.

Z prawdziwą satysfakcją i bez blagi należy stwierdzić doskonałe wyszkolenie całej armii, co wzmiancie jeszcze podkreśla wybory spręt, w jaki bogato jest zaopatrzona. Są oczywiście — jak zawsze w życiu — różne bolączki i dolegliwości. Dotkliwie odczuwa się n.p. brak dobrej książki i w ogóle brak materiału, którym lepiej było by można umlelować sobie głowę i zaprząć samopas chodzące myśli do umysłowego wysiłku.

Jeśli nam, którzy toneliśmy w hłaśliwym wrzasku londyńskich i edynburskich środowisk spokojniejszy wydawał się najpierw myślowym „lazarizmem” czy nawet pustką, to z czasem zdecydowanie zmieniliśmy zdanie. Po prostu brak wysokiego napięcia myśli, co znowu naważone jest wysoką temperaturą uczuć.

Faktem jednak wydaje się brak zastrzyków, które ożywiłyby powszechną myśl i podniosłyby powszechną kulturę dnia codziennego. Dlatego wezwania „Polski Walczącej” o książki dla Armii na Wschodzie są w zupełności usprawiedliwione. Możliwie jednak, że obecnie to już i na to trochę zapóźno, bo wybieramy się w podróż po kontynencie — a podróże kształcą przecież także. Tak czy inaczej „podróż” ta jest nam — „really necessary.”

Bilety są kupione i miejsce nawet zamówione. Czekamy na sygnał do odjazdu.

Proszę przyjąć Panie Redaktorze, żółnierskie pozdrowienia, a za pośrednictwem „Polski Walczącej” dla Kolegów i Wszystkich Czytelników. m.p. w pustyni na Wschodzie.

Gerard Juralewicz (R.A.F.)

### WIĘCEJ INFORMACJI O POLSCE

Szanowny Panie Redaktorze, Wszyscy Polacy na terenie Wielkiej Brytanii zgodnie stwierdzają, że nasza propaganda nie informuje skutecznie świata o naszych sprawach. Wiadomo Polakom, że Naród nasz ponosi największe ofiary w ludzkości, w dołkach kulturalnych i gospodarczych, ale nie wie o tym świat, albo wie niewiele. Że ludności polskiej zginęło dotychczas ok. 3 miliony na skutek działań wojen-

mieściłbym wydawnictwo „Wiadomości Polskich” pod strażą dobrego duszka, któryby dzwonił w razie potrzeby. Całą tyradę od dzieci o wartości gwarancji słownych trzeba by wykreślić ze względu na możliwość cofnięcia uławień dla pantominy. Krokodyla też bym stonował, żeby ktoś nie pomyślał, że to aluzja... Linie chętnie bym start... Krokodyl i tak pojedzie gdzie zechce, szkoda kredy. O piratach nie mogło być mowy, bo piratów przecież nie ma. Skreślić! Całą kwestię Peter Pana o bajkach można by zaktualizować, n.p.: przed wypiciem trucizny Peter Pan mógłby wołać do dzieci: — „Czy wierzyć w rzeczywistość?” Widownia specjalnie „podreżyserowana” mogłaby od biedy odpowiedzieć chórem: „Yes”!

Kapitan Hook nie wiem czy by pozostał, ale ponieważ na końcu i tak zjada go krokodyl, więc zaletą by od krokodyla, czy się zgodzi zjeść go wcześniej.

Zagłębiony w układzie nowej pantominy dla dorosłych, nawet nie zauważyłem, że zaczął się akt IV i ostatni p.t. „Home, sweet home.” Matka oczekuje w domu powrotu porwanych dzieci. Mówi: „Nigdy, już nigdy ich nie zobaczę.” Widownia wyciera oczy i nosy. Kil-koro bahorów beczy na głos... Nigdy, już nigdy... Czy to bajka? Home, sweet home...

Ale co to? Happy end? Dzieci nagle uracają, kłękają w stóp matki przed kominkiem. Z nimi zjawia się Peter Pan, ale on nie chce pozostać w obcym domu. Jemu wygodna atmosfera domu angielskiego nie odpowiada. Woli swoją skromną chatkę. Peter Pan chce wrócić do swego „Never, never-landu.” Wcale mu się nie dziwnym. Peter Pan nie rozumie otoczenia, tęskni do swoich lasów, choć w lasach tych grożą mu piraci, i krokodyl. Peter Pan uraca do „Never-landu.” Szczęściarz, co?

Czekałem jeszcze czy będzie akt V. „Prosił się.” W tym akcie kapitan Hook, wódz piratów, powinien był udowodnić, że leśny dom Peter Pana, nie jest jego domem, ale starą własnością kapitana Hooka. W tym akcie krokodyl powinien był zżreć całą „Never-land” z chatką Peter Pana, drzewami, przyległościami i kotarkami.

Powiedziałem na początku, że to stara pantomina. Rok 1904. A jednak dzieci były podnieksytowane. Dlatego słusznie staranna i przewidująca dyrekcja teatru umieściła przy drzwiach wyjściowych duże napisy: „Exit. Keep calm! Keep smiling!”

Keep calm! Słusznie. Zachować spokój!... Keep smiling. To trudniej... Exit... Nie mogłem znaleźć wyjścia. Tylko w bajce.

WIKTOR BUDZYŃSKI

## Skrzynka pocztowa

Jeżeli nam, którzy toneliśmy w hłaśliwym wrzasku londyńskich i edynburskich środowisk spokojniejszy wydawał się najpierw myślowym „lazarizmem” czy nawet pustką, to z czasem zdecydowanie zmieniliśmy zdanie. Po prostu brak wysokiego napięcia myśli, co znowu naważone jest wysoką temperaturą uczuć.

Faktem jednak wydaje się brak zastrzyków, które ożywiłyby powszechną myśl i podniosłyby powszechną kulturę dnia codziennego. Dlatego wezwania „Polski Walczącej” o książki dla Armii na Wschodzie są w zupełności usprawiedliwione. Możliwie jednak, że obecnie to już i na to trochę zapóźno, bo wybieramy się w podróż po kontynencie — a podróże kształcą przecież także. Tak czy inaczej „podróż” ta jest nam — „really necessary.”

Jeżeli nam, którzy toneliśmy w hłaśliwym wrzasku londyńskich i edynburskich środowisk spokojniejszy wydawał się najpierw myślowym „lazarizmem” czy nawet pustką, to z czasem zdecydowanie zmieniliśmy zdanie. Po prostu brak wysokiego napięcia myśli, co znowu naważone jest wysoką temperaturą uczuć.

Faktem jednak wydaje się brak zastrzyków, które ożywiłyby powszechną myśl i podniosłyby powszechną kulturę dnia codziennego. Dlatego wezwania „Polski Walczącej” o książki dla Armii na Wschodzie są w zupełności usprawiedliwione. Możliwie jednak, że obecnie to już i na to trochę zapóźno, bo wybieramy się w podróż po kontynencie — a podróże kształcą przecież także. Tak czy inaczej „podróż” ta jest nam — „really necessary.”

**HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE?**

**ST. JAMES' BALM**  
ANTIVIRUS OINTMENT

**DESTROYS GERMS**  
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for FREE SAMPLE

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES LTD  
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

nach, obozów, deportacji, głodu i chłodu, o tym świat nie wie. Że walka podziemna trwa przez cztery lata — świat nie wie. Że podziemna prasa polska, tajne nauczanie trwa, że sabotaż idzie całą parą, że Naród dumnie stawia czoło najazdom — świat nie wie. Że Polacy walczą po stronie Alientów w powietrzu, na lądzie i wodzie — świat mało wie. Ale wie, że jeden pilot czeski zestrzelił niemiecki samolot w zatoce Biskajskiej. Wie, że jedna wieś czeska została spalona, że 6000 Czechów już zginęło, że Norwegowie dzielnie walczą, że jedna rosyjska kobieta zabiła ilus tam Niemców.

Widzieliśmy kilka filmów o bohaterskiej ludności Czech, widzieliśmy czeskie wioski spalone, widzieliśmy filmy z podziemnej walki we Francji, w Norwegii — a gdzie są polskie filmy na ten temat?

Przed wojną Polska jako kraj i państwo słabo była znana za granicą. Wystarczy przejrzyć angielskie podręczniki historyczne czy geograficzne dla szkół średnich, gdzie o Polsce mówi się na pół strony — no, na stronice. A przecież mieliśmy ambasady, poselstwa, konsulaty. I czy ci panowie od dyplomacji robili? Niwiele było Polaków, którym sprawa własnej Ojczyzny naprawdę na sercu leżała.

Dziś, kiedy trzeba o Polsce mówić, przekonywać uparcie, otwierać uprzedzonym oczu — cicho. Wojsko tu, zwłaszcza ta światlejsza część armii /bez względu na stopień/ odrabia karygodne niedbalstwa, ale to za mało. Słowo i obraz — film, robi swoje, ale trzeba go mieć, trzeba go zrobić. Materiału z opowiadań przybywających Polaków z ucieczką do Krajów jest dość, można by nakręcać film za filmem — trzeba tylko chcieć a nie uparcie trwać przy utartych szablonach. Trzeba ludzi z wyobraźnią i sercem, nade wszystko z głęboką miłością własnej ziemi rodzinnej.

Łączę wyrazy szacunku

Jan Kurkiewicz

# Dla Polaków w Rosji: £10,748

P. Wacław Frelek niepodjęte honorarium za artykuł druk. w nr. 26 "Polski Walczący" z ub.r. w wysokości £2 /słownie: funtów dwa/, na pomoc dla Polaków w Rosji.

Artykuł ten został przedrukowany w Biuletynie Ministerstwa Informacji i Dokumentacji nr. 16 z ub.r. i honorarium w wysokości £110.0 /słownie: jeden funt, dziesięć szyl./ zostało również przekazane na ten sam cel.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £3.10.0 /słownie: trzy funty, dziesięć szyl./ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zbraną do tychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £10,748.16.7 /słownie: dziesięć tysięcy siedemset czterdzieści osiem funtów, szesnaście szylingów i siedem pensów/, 28 dolarów amerykańskich, 108 pesetów hiszpańskich, 54 dolarów amerykańskich, 15 czerwienców i 100 milrejsów brazylijskich.

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie R.A.F. Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu październiku 1943 r. kwotę £7.18.6.

Biuro Związku Ziemi Północno-Wschodnich czynne jest codziennie, z wyjątkiem sobót/ od godz. 14.30 do godz. 17.

Adres: 45, Belgrave Square, Ognisko Polskie, czwarte piętro, pokój nr. 25.

## FUNDUSZ RATOWANIA DZIECI

Redakcja "Polski Walczący," Londyn,

W załączeniu przesyłam pieniądze złożone na moje ręce, z prośbą o przekazanie ich na pomoc dzieciom ewakuowanym z Rosji.

1/ Pani Stefania Burzyńska, 29, Blithewood Ave., Worcester, 4, Mass., U.S.A. przekazała kwotę £2 sh.8 d.4.

2/ Mrs. Hellen Patisson, 140, North Street, St. Andrews, Fife, Scotland, przekazała kwotę £3 sh.2 d.5.

Z poważaniem *ppłk. B.*

Na pomoc dzieciom polskim z Rosji £8.5.5.

*B.P. świetliczarka... Pułku Przeciwpancernego*

Sumę £13.16.2½ /słownie: trzynastę funtów, szesnaście szyl., dwa i pół pensu/ przelałem do Children Rescue Fund.

## FUNDUSZ WALKI CZYNNEJ Z NAJEŹDZĄ

Strz. B. Antoni wpłacił sh.10 /słownie dziesięć szyl./ na fundusz walki czynnej z najeźdźcą.

## RESTAURACJA CZECHOSŁOWACKA

Portsea Hall, 61/63, Edgware Road, W.2, obok Marble Arch. Tel.: PADdington 3710.

Doskonała czeska kuchnia, najtańsze ceny. Kierownik: Max Glueck

## Zbiórka książek

Za pośrednictwem mjr. J. otrzymałmy dla dzieci polskich w Kiranagarze, Navanagar następujące książki:

"Grażyna," "W podróży," "Contemporary Poland," "Czy mówisz po angielsku," "The Tempest," "The Indian States and Ruling Princes," "The Rediscovery of Poland," "Poland," "Poland To-day."

Szanowny Panie Redaktorze, Nie znając adresów, uprzejmie proszę o przesłanie załączonej książki "O Krasnoludkach i o Sierotce Marysi" jakiemuś dziecku w Palestynie.

*B. Łoziński*

Do Redakcji "Polski Walczący," W załączeniu przesyłam 5 książek dla Armii Polskiej na Wschodzie: "Antologia Poezji Współczesnej" /wydana w podziemnej Warszawie/ "Pomniki Literatury Ojczyzny" /2 tomy/, "Umarli nie są bezbronni" /Jerzy Pietrkiewicz/, "Dziedzictwo" /K. Wybranowski/.

*B. Łoziński*

Redakcja "Polski Walczący," W załączeniu przesyłam: "Podręcznik do nauki angielskiego," "Basic English Dictionary," "Słownik Polsko-Angielski i Angielsko-Polski."

*W. Gatuszka*

W załączeniu przesyłam parę książek dla Polaków w armii na Bliskim Wschodzie.

Z poważaniem *Kazimierz M.*

Załączonych 7 książek i 6 broszur.

# Na "paczki od serca": £2,154

Załączam "Postal Order" na sumę 1 funta z przeznaczeniem dla jeńców polskich w Niemczech.

Z poważaniem *kpt. X.Y.*

Załączam M.O. na łączną sumę £8.10.0 zbraną drogą składki na "Wieczorku" Światlicy Żołnierskiej 300 Dywizjonu Bombowego, z przeznaczeniem na "Paczki od serca."

Z poważaniem *H. Szorc*

*Kierowniczką Światlicy*

Redakcja "Polski Walczący,"

W załączeniu przesyłam przekaz pocztowy na £9 sh.15 na "paczki od serca." Kwota powyższa powstała jako czysty dochód z urzędzonej na ten cel imprezy.

*Oficer oświatowy*

W załączeniu przesyłam M.O. na sumę £16.10.10 /słownie: £ szesnaście, sh. dziesięć i d.10/, którą to sumę wyniosły dobrowolne składki żołnierzy... Pułku Przeciwpancernego w I dekadzie lutego 1944 z przeznaczeniem po połowie na pomoc dzieciom polskim z Rosji i jeńcom wojennym w obozach niemieckich.

Z poważaniem *B.P. świetliczarka*

Przyjeźdźni do Blackpool mogą znaleźć doskonałe polskie potrawy w restauracji przy ulicy Titanic, 4, Cheapside.

W Pan Redaktor "Polski Walczący,"

W załączeniu przesyłam Postal Order na £1 z prośbą o przyjęcie tej sumy na fundusz pomocy jeńcom polskim w niewoli niemieckiej.

Łączę wyrazy poważania

*Józefa Zajączkówna zastępowa P.W.S.K.*

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £28.10.5 /słownie: dwadzieścia osiem funtów, dziesięć szylingów i pięć pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wopennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

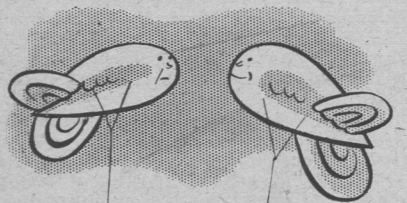
Suma powyższa podnosi ogólną sumę zbraną do tychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £2,154.14.6 /słownie: dwa tysiące sto pięćdziesiąt cztery funty, czternaście szylingów i sześć pensów/, 50 milrejsów brazylijskich i 2 dol. amerykańskie.

**BE TALLER!**  
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!  
Increased my own height to 6ft. 3 1/2 ins.  
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches  
No Appliances—No Tablets—No Dieting  
Ross System Never Fails  
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp  
**MALCOLM R. ROSS**  
Height Specialist  
SM/Hyde, London, W.C.1

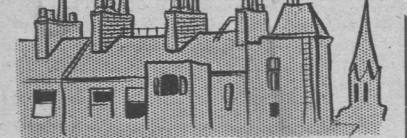
# WERINAJSEK

SMIEMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE...

## PRZED NALOTEM



—No co, będzie dzisiaj nalot?  
—No sure!  
—A czy schodzi pan do schronu?



PRZYTOMNOŚĆ UMYŚLU  
Główną ulicą w Edinburgu kroczy rotmistrz. Mija go kapral, nie salutując przez roztargnienie.  
—Halo kapral! Czy nie wicie co mi się należy?  
—Melduję posłusznie, że stopień majora — panie rotmistrzu!

CZEK ZACZEKA  
—Panowie darują — mówi jeden z rodaków w barze — ale jest niedziela, a ja mam tylko czek!  
—Nie szkodzi — my wypijemy, a pan poczeka!

## POLITYK NA PSICH WYŚCIGACH

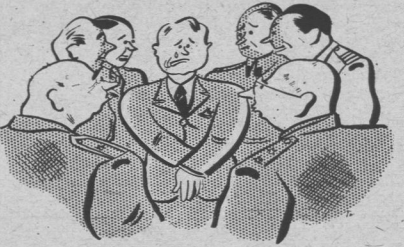
—Niech mi pan wierzy, ale Czesi grają najsmardziej ze wszystkich... Zawsze grają na "forcastra"...

## JASNY MELDUNEK

Na Izbie Chorych sanitariusz Pięćka melduje przybyłemu rotmistrzowi:

—Panie rotmistrzu melduję posłusznie, że pana doktora nie ma. Pan doktor poszedł do ciężkiej choroby...

## GDY URLOPOWANY POWRACA Z LONDYNU



—Mówi pan, że strzelają w Londynie? A nie mówili panu: siedź pan w wojsku!...

## NA DANCINGU W WHITE EAGLE CLUB

—Dlaczego pan tak się męczy w tańcu?  
—Ponieważ muszę jeszcze rozmawiać po angielsku...

## DOBRY ŻART...

—Pan wie, że nasz ruch podziemny w Londynie jest najsilniejszy!  
—Co pan mówi??  
—No tak, w czasie nalotów...

## FLEGMA NIEMIECKA

—Nie przypuszczałem, że ci Niemcy mają taką angielską flegmę.  
—Dlaczego?  
—Dopiero po czterech latach kończą bitwę o Londyn...

## KURS JEZYKA POLSKIEGO DLA ANGLIEK

/autentyczne urywki z zeszytu/  
Schauczne bżmsne semenai...  
Nydrrsha...  
Bvlas coteek na poeteck e moreuga, pieunca toe pieceinka naie dwgha.

## KRÓTKO-WZROCNZY POLICJANT



—Złapałem ich! Trzeci raz nie zrobili black-outu w oknie!

## PIERWSZE SPOTKANIE Z PIECYKIEM (od naszego "korespondenta wojennego")

Jest to ogień z karabinów maszynowych, lecz taki zwykły. Ogień jest koloru czerwonego i wydaje ciepło.  
—Czy wam nie jest zimno? — pytamy.  
—Różnie — odpowiadają. — Jak jest zimno, to jest zimno, a jak jest ciepło — to ciepło.  
—Czy byliście kiedyś na mrozie? — zadajemy pytanie, poznając w tej chwili naszego kolegę z obozu na Kamczatce.  
Wobec braku odpowiedzi, pytamy: —A naco palicie ogień? Żołnierze milczą.  
Zwiedzamy dalszy odcinek frontu. Wszędzie jest przytulnie i beztroško. "Cisza dokoła." Słychać tylko trzask zapalniczek. We Włoszech brak jest pomarańcz, cytryn i zapałek. Jeżeli trafia się zapałki, są podobne do polskich, lub francuskich. Wyrabiane są z drzewa i z siarki.

Zwiedzamy mieszkanie szefa kompanii. Uderza nas prosty, zupełnie prosty piecyk. Nawet nie elektryczny. Piecyk służy szefowi do ogrzewania pokoju, w którym rozważa plany operacyjne. Komin piecyka jest ze zwykłej cegły, chociaż we Włoszech jest tyle marmuru. Widzimy, że z kominu właśnie wydostaje się dym. Ale mimo to jest zimno.  
To ciekawe: jest piecyk, a zimno! Żołnierze zapewniają nas, że w lecie będzie ciepło.  
Oglądamy łóżko szefa. Łóżko jest proste, jak bambus, chociaż we Włoszech jest tyle antyków. Na łóżku są poduszki. Otwieramy je. W środku znajdujemy pierze. Dziwi nas to wobec braku drobiu. Jest też pierzyna — puchowa. Dziwne: na froncie pierzyna!  
Żegnamy szefa, ponieważ udaje się do pierwszej linii frontu, gdzie chadza codziennie na przechadzkę.

Opuszczamy drugą linię frontu. Słychać dwa strzały. Podobno na lewym skrzydle oddano pociski. Na zagrożone miejsce ma w najbliższym czasie przybyć z Londynu drugi korespondent.  
Wynik walki jeszcze nierozstrzygnięty. Jest godzina dwunasta w południe. Słychać hejnał. Legenda hejnału jest już znana. Podczas najazdu austriackiego na Polskę niejaki Hawelka w służbie Austriaków rąbnął z krucicy w trębacz i przerwał mu miły ton.  
Ranni są przewożeni do szpitala. Chcą oni jak najszybciej wyzdrowieć. Ciężko ranni — też. Jedziemy na lunch.  
Następna depeza po podwieczorku.  
/KOM'iczna/

## White Eagle Club — urządza:

w piątek 3 marca 6.30 wieczorem **WIECZÓR AUTORSKI ALEKSANDRA JANTY**

Na program złożą się fraszki, wiersze oraz proza. Autor odczyta również fragmenty z tomu wierszy p.t. "Sciana milczenia." Książka ta ukaże się w najbliższych dniach. Dobrowolne składki przeznaczone są na fundusz Związku Byłych Jeńców w Niemczech.

## SPIS RZECZY:

Józef Winiewicz: Niemcy w ofensywie. — Ryszard Kiersnowski: Ewangelia żywych. — Aleksander Janowski: Polski punkt widzenia. — Dekoracja złotym krzyżem Virtuti Militari. — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Żołnierze polscy we Włoszech /Korespondencje własne "Polski Walczący"/. — Józef Rudnicki: Ziemia zagrożona. — Jerzy Głębocki: Nad wielką wodą /I/. — Adam Wojtyga: APEWU /I/. — Aleksander Janta: Na jenieckim szlaku. W głąb Niemiec /II/. — Wiktor Budzyński: Bez blackoutu. — Z tygodnia na tydzień. — Skrzynka pocztowa. — Dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — Na "paczki od serca." — Tomy: Werinajsek. — Fotografie.

## KONKURS NA UTWÓR SCENICZNY

Każda nadesłana praca winna być podpisana godłem. Do każdej przesyłki należy dołączyć zamkniętą kopertę z imieniem, nazwiskiem i szczegółowym adresem autora. Na kopercie winno być powtórzone godło obrane przez stojącego do konkursu.  
Za najlepsze prace będą przyznane następujące nagrody pieniężne:  
pierwsza nagroda Z.A.S.P.-u £50  
druga nagroda Naczelnego Wodza £30  
trzecia nagroda Min. W.R. £25  
i O.P. £25  
Jury ma prawo nieprzyznania pierwszej nagrody, względnie podziału jej pomiędzy kilku autorów. Ponadto może wyróżnić pewną ilość prac.

Egzemplarze utworów nagrodzonych i wyróżnionych pozostają w archiwum Związku, co w żadnym stopniu nie ogranicza praw autorskich zastrzeżonych ustawą. Utwory nienagrodzone i niewyróżnione zostaną zwrócone na imienne żądanie autorów nie później, niż w dwa miesiące po ogłoszeniu wyniku konkursu.  
W skład jury konkursu wchodzi: Wiktor Budzyński, Miła Kamińska, Maria Kuncewiczowa, Zygmunt Nowakowski, Mieczysław Pawlikowski, Tadeusz Szymonowicz, Tymon Terlecki.

**WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.**  
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.  
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-iej—13-iej.  
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.  
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zareserwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.  
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Królewskie Kapielisko  
**HARROGATE — ZDRÓJ**  
Otwarte cały rok  
Naturalne Kapieli Mineralne.  
ZRYCZAŁTOWANE KOSZTY POBYTU I LECZENIA

**Reumatyzmu**  
Ischias, Lumbago, Nierwicy żółtka,  
Dostępniejsze poza głównym sezonem.  
Prospekty i cenniki stosowne do wymagań, wysyła H. Roberts, Manager, Royal Baths, Harrogate.  
Prosimy powoływać się na "P.W."

**LONDON FLATS**  
37, Dorset Str. (przy Baker Str.), W.1. ofiarowuje:  
**UMEBLOWANE ORAZ NIEMEBLOWANE MIESZKANIA I POKOJE**  
Tel.: WEL 3302.